

RADOMIR GELHOR

# YORMŪN

## WYKŁĘTY ANIOŁ



DARMOWY  
E-BOOK

ZARZEWIE

ERRATA  
2019

Wydanie II  
Poprawione i uzupełnione





RADOMIR GELHOR



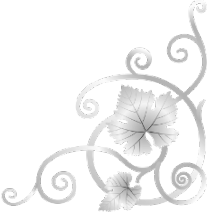

# YORMŪN – WYKLĘTY ANIOŁ

ZARZEWIE

Wydanie II  
Poprawione i rozszerzone



Ubinam gentium sumus?



MMXVII  
Opole Lubelskie

Okładka  
Radomir Gelhor

Ilustracje do rozdziałów  
Mariusz „Sierpa” Madejek

Tłumaczenie dialogów na język niemiecki  
Monika Śliwa

Tłumaczenie dialogów na gwaraę góralską  
Andrzej Antoł, <http://jyndrek.blogspot.com>  
Jakub Ścisłowicz

DTP  
Radomir Gelhor

© Copyright by Radomir Gelhor  
Opole Lubelskie 2017  
[www.rdmg.eu](http://www.rdmg.eu)  
[radomir.gelhor@rdmg.eu](mailto:radomir.gelhor@rdmg.eu)

Wydanie II, poprawione i rozszerzone  
Darmowy e-book: vPDF-YWAT1-20190210 / errata: luty, 2019 /

ISBN 978-83-948721-2-0

## SPIS TREŚCI

- **Przedmowa**
  - Od autora
    - Współpraca
  - ERRATA, 2019
  - Informacja prawna
  - Podziękowania
  - Dedykacja
- **Wstęp**
- **Prolog**
- **Rozdział I: Anna**
- **Rozdział II: Yormūn**
- **Rozdział III: Lera**
- **Rozdział IV: Jedasz vel Jiro**
- **Rozdział V: Gabriel vel Habakuk**
- **Epilog**
- **Dodatek A**
  - Język staropolski, gwara i mowa potoczna
    - Błędnie napisane?
  - Objasnienia, skróty i znaki diakrytyczne mowy góralskiej
- **Przypisy**

# ROZDZIAŁ I

ANNA



*„By zaistniał pokój trzeba mieć go w sobie”*

**D**zień chylił się ku końcowi. Gród powoli, acz nieubłaganie pogrążał się w mroku. Zachodzące słońce nasyciło niebo ciemnoczerwonymi odcieniami i nadało mu krwistego, złowrogiego koloru. Z okolicznej puszczy rozbrzmiewały krzykliwe głosy leśnych ptaków, stękania jeleni i nawołujących wilków, a nad głowami powracających do domów ludzi zwinnie lawirowały kosmate nietoperze. Wydawały niesłyszalne dla ludzkiego ucha dźwięki i wyłapywały latające w powietrznej przestrzeni nocne motyle i chrabąszcze.



Targ w Kresowej, bo tak nazywało się miasteczko, pustoszał z minuty na minutę. Mieszkańcy grodu nieśpiesznie wracali do domów, podczas gdy wędrowni kupcy i przyjezdni kramarze uwijali się, upychając cenne towary do dużych wiklinowych koszy i skórzanych worów. Czas ich naglił. Za niecałą godzinę ostatnia brama miasta, zwana przez tutejszą ludność – Północną, zostanie zamknięta. Pozostawanie w mieście na noc nie było najlepszym pomysłem, a przede wszystkim nie opłacało się, o czym dobrze wiedzieli stale przyjeżdżający tu podróżni. To specjalnie dla nich trzy lata temu wybudowano za pieniądze z kasy miasta dwa okazałe budynki na terenie grodu. Można było w nich wypocząć i wynająć izbę na noc. I choć pomysł postawienia kwater dla przyjezdnych był, jak to oznajmił jeden z rajców<sup>1</sup> „doskonały”, niezbyt często wynajmowano tam pokoje. Z jednego zresztą zasadniczego powodu – zbyt wygórowanej ceny. Dawniej zamiejscowi, nie chcąc płacić za nocleg, spali na ulicy lub gdzie tylko popadło, lecz szybko zostało to zabronione. Za nieprzestrzeganie zakazu groziły wysokie kary pieniężne i rzeczowe, przymusowa praca na rzecz grodu lub odsiadka w zimnym, ciemnym lochu, pełnym wcale niemałych szarych gryzoni<sup>2</sup>.

Strażnicy grodowi, a w zasadzie stacjonujący tu woje, składający się w większości z najemników, patrolowali nocą wszystkie zakamarki Kresowej w poszukiwaniu dziko koczujących. Robili to chętnie, gdyż odbierane pieniądze i materialne dobra nie trafiały wcale do kasy miasta, lecz do ich własnych kieszeni. Stanowiły całkiem solidne uzupełnienie comiesięcznie lafy<sup>3</sup>. I chociaż rajcom donoszono o tym procederze i zaskarżano strażników przed sądem, nic z tym nie robiono. Nie chciano bowiem drażnić słabo opłacanych drużynników.

Białowłosa, drobna dziewczynka zbierała z postrzępionego płótna okazałe grzyby. Delikatnie wkładała je do wiklinowego koszyka, zważając, aby żadnego z nich nie uszkodzić. Niewielki targ dziś miała<sup>4</sup>, ale i tak cieszyła się tymi kilkoma zarobionymi miedziakami<sup>5</sup>.

Przykryła grzyby płótnem. Na wierzch położyła bawełniane woreczki wypełnione pachnącymi ziołami: szałwią, rumiankiem i miętą, i ruszyła po jedynej w grodzie wybrukowanej szarym kamieniem ulicy, w stronę głównej bramy miasta. Szła i przyglądała się uwijającym się kupcom. Pochodzący z różnych stron świata, cudacznie poubierani i mający różnorakiego koloru skórę, a poza tym mówiący niezrozumiałymi językami, wzbudzali w niej wielką ciekawość.

Można było dostać u nich wszystko. U kupców ze wschodu przepiękne odzienie i skórzane buty, materiały zdobione wielobarwnym wzorem, lśniące w słońcu, delikatne i miłe w dotyku, albo grube i ciężkie, wieszane na ścianach lub kładzione na podłodze. U ciemnoskórych kupowano owoce i warzywa o przedziwnych kształtach, wonne przyprawy i niespotykane zioła. Kupcy z zachodu specjalizowali się w metalowych garnkach, ceramicznych oraz szklanych kubkach, wiklinowych koszach i skórzanych sakwach. Złote i srebrne świecidełka misternie bramowane<sup>6</sup> sprzedawali najczęściej handlarze z południa, gdzie istniały najznakomitsze szkoły złotnicze i artystyczne. Nożami zaś i toporami, mieczami i wszelką bronią handlowali przybywający tu ludzie północy, o twardych rysach i jasnych włosach. Można było też kupić magiczne przedmioty i mixtury, drobne wyroby z egzotycznego drewna i mini figurki z kości zwierząt i kolorowych kamieni.

Czasem, kiedy wszystek już sprzedawała, spacerowała pomiędzy licznymi straganami i podziwiała wszystkie te wspaniałości. Przysłuchiwała się niesamowitym opowieściom o odległych lądach, tajemniczych krajinach i niezwykłych ludach je zamieszkujących, o dziwacznym skrzydlatych stworach i ziejących ogniem straszliwych smokach. Wszystko tam było inne, frymuśne, czasem zabawne, a niekiedy straszne.



I mieszkał na onej<sup>7</sup> górze smok wielgi. Łeb miał jaszczurczy, tułów by<sup>8</sup> węża osłonięty rybią łuską, chwost<sup>9</sup> by stalowy grot ogromnego szypu<sup>10</sup>, a skrzydła błoniaste by u nietoperza.

— O! — dziwowali się słuchacze, jedni zakrywali usta z przerażenia, inni z wrażenia wzdychali głośno.

— W onej to górze skarb był zagrzebion<sup>11</sup>. Wielgie kopce złota, fury srebra, skarbnice<sup>12</sup> brylantów i klejnotów, i składy wszelakiego dobra, jakiegoć człeczce oko nie widziało. A oprócz smoka strzegły go Niewidy!

— O!

— Takież małućkie, iż niepostrzegłe<sup>13</sup>, a złośliwe jako żadne inne<sup>14</sup>! Rzucało się toto na śmiałków, wślizgiwało pod odzienie, kąsało ostrymi zębiskami skrytymi w szerokiej paszczęce, a pazdurami<sup>15</sup> rwało skórę do żywego!

— Lelum! — Słyszać było zdumienie w głosach ludzi mimowolnie drapiących się po ciele.

— Ooo...! O! — Wytykał drapiących się kupiec. — Pewno to Niewidy! Rozplęło się toto po całutkim świecie wraz z umykającymi z góry śmiałkami. Teraz tutki<sup>16</sup> przywędrowało... Ooo...!

Zrobił bojaźliwie krok do tyłu, jakby sam się obawiał, że i na niego mogą poprzeskakiwać<sup>17</sup>.

— Lelum! Jako to nam teraz będzie? Jakże żyć z onymi Niewidami?

Drapali się słuchacze, przyglądali swoim rękom, sobie nawzajem, wyszukiwali niewidocznych dla oczu maleńkich złośliwców, o których im prawił ciemnoskóry kupiec.

— Onego, co chyć, biada mu! Trzy miesiące<sup>18</sup> nie minie, jak żywcem zjedzą! Do śpiku<sup>19</sup> wyćmoktają<sup>20</sup>.

— Coże<sup>21</sup> nam robić?! Co robić?! — wołali przerażeni.

— Jak się przylepło ni oderwać, boć nie widno<sup>22</sup>! A one już łążą i gryzą, już pazdurami by łopatami kopią a drążą w ciele by w najtwardszej skale!

— O raj! Co nam poczyć?! Cóż robić?!

— Jeden jest ino sposób na Niewidy — odparł tajemniczo kupiec.

— Jaki to?! Jaki?! — dopytywała gromada.

— Jucha<sup>23</sup> smoka!

— Jucha smoka? A skądże wziąć nam oną?

— Mam gdziesik plan na oną górę, gdzie smoczysko zamieszkuje. Kto tamok<sup>24</sup> pójdzie, ubije gada i juchy onego kapkę skosztuje, raz na zawsze pozbędzie się Niewidów. Jednakóż nikt stamtąd nie powrócił. A byli wpośród<sup>25</sup> śmiałków chrobry<sup>26</sup> rycerze i waleczni woje.



Nikt się nie odzywał, spanikowanym wzrokiem spoglądali po sobie, zerkali z lękiem na udającego zmartwienie kupca, coś tam szemrali pod nosem i mimochodem nieustannie się drapali.

— Mam ci ja teże<sup>27</sup> juchę onego smoka, to i sprzedam za mało-wiele. Azali<sup>28</sup> wszystkim starczy? Nie wiada<sup>29</sup>...

Nie musiał się powtarzać, ludzie natarli na niego hurmem i przepychali ze sobą, każdy zapragnął nabyć niepozorny flakonik z krwią groźnego smoka o jaszczurowatej gębie i skrzydłach nietoperza. Kupiec zacierał ręce z radości, coraz to wyciągał świeży pojemnik z podróźnej torby, pouczał kupujących jak stosować smoczą miksę i czego się wystrzegać. Przyjmował z lubością zapłatę w monetach i materialnych dobrach, nie był chciwy, ale i za bezcen nie chciał krwi smoka oddać.



Takie to i wiele innych historii mógł usłyszeć chodzący pomiędzy straganami. Nic więc dziwnego, że ciągnęło ją do kupców, będących rad z wielkiej ciżby stłoczonej przy straganach.

Bajdurzyli chętnie, wychwalali przedmioty przewijające się w opowiadaniach, przedstawiali korzyści z ich posiadania i demonstrowali działania. Niewielu było takich, którym oko nie błysnęło na pokazywanym przedmiocie, serce nie drgnęło z podniecenia lub ręce nie wyciągały się same. Niejeden skuszony opowiadaniem pomieniał się<sup>30</sup> za ostatnią skórę upolowanego zwierzęcia, oddawał skrawek płótna utkanego rękami żony lub przepłacał monetami przeznaczonymi na inne, bardziej potrzebne do życia rzeczy.

Tak. Przyjezdni kupcy umieli zachwalać towary, nigdy nie okazywali zmęczenia i nie narzekali. Byli wśród nich i mniej sympatyczni, cudaczeni, gburowaci, a nawet wrzawliwi<sup>31</sup>:



Zobacze tę zausznice<sup>32</sup>, dziewuszko! — zagał do niej pewnego razu siwobrody kupiec widocznie znudzony beczynnością.

Chuderlawy, długi jak tyka, z poźólką i pokurczoną gębą, chomikowatymi zębami i obwisłą dolną wargą, wyglądał jak schorowany. Jedynie oczy, drobne a bystre, z chytrym migotem i wrodzoną niecierpliwością bacznie śledziły najmniejsze wokół poruszenie. Lekko zgarbiony podszedł do niej, przykucnął i pokazał jej delikatną ozdobę wykonaną misternie w srebrze i wysadzaną suewskim jantarem<sup>33</sup>.

— A wieszli ty, wiewa<sup>34</sup> to jest wart drogie dziecko? — Uniósł wyschlą dłoń, wskazując kościstym palcem niebo.

Zerknęła w stronę zawieszanej nad targowiskiem bladej chmury, na której z jej perspektywy zdawał się trzymać mężczyzna żółty paluch, wzruszyła obojętnie ramionami i odrzekła:

— Nie wiem.

Cień ogromnego zdziwienia przemknął po obliczu szpetnego kupca, jakby przez jego twarz jakiś prąd przeleciał, przymrużył, i tak już małe oczka, i chrypiącym, niemiłym dla ucha głosem oznajmił:

— Za owe błyszczydło<sup>35</sup> nabyłabyś bitewnego<sup>36</sup> konia! Wszystek sukien powiewających tamoj<sup>37</sup> na straganie, stado wołów aboż onych robów<sup>38</sup>, co to kupcy po lewo sprzedają.

Jedną ręką ważył zausznicę, a drugą, nie odrywając od niej oczu, wskazywał handlarzy.

— Dlaczego ich sprzedają? Wszakoz<sup>39</sup> to człeki. . .

— Głupiaś! Nie człeki, ino brańcy<sup>40</sup> . . . Bezwolni<sup>41</sup>. Niewiewa<sup>42</sup> oni warci, ale za to cacko nabyłabyś wszystkich. Całą tę zgrają. . . I na konia by stało. Niebitewnego po prawdzie, aleć<sup>43</sup> konia. Dobrego, silnego i rączego źrebca.

Nie odpowiedziała, spojrzała na powiązanych powrozem umęczonych mężczyzn, szlochające w strachu niewiasty i zapłakane dzieci w najróżniejszym wieku. Wielokrotnie widziała, jak spętanych prowadzą do grodu i tarzą<sup>44</sup> nimi jak bułkami, tyle że nigdy nie myślała o nich jak o nieludziach i dziwiła się temu niezrozumiałemu procederowi.

— Cosik<sup>45</sup> to zamilkła jakby ci usta zasupłano! Chciałaby to błyszczydło? Chciała? A?

Wybił ją z zamyślenia starzec.

— Pewno, iżbym chciała.

— A co byś z tym robiła? Obnosiła się by xiężniczka jaka?

— Iii. . . Nabyłabym onych. . .

— Robów? — Zdumiony uniósł brwi do góry.

— Ano.

— A po cóż ci to ony? Co by ty z onymi robiła? A?

— Uzwoliłabym<sup>46</sup>.

— Uzwoliła?! Durnaś widno. Ładnaś, ino durna. . . A teraz zabieraj się

stąd! Wynocha! Idźże już! — Powstał i wielce naburmuszony odszedł. — Małe toto, głupie toto. Uzwolnić robów? Toż ci dopiro<sup>47</sup> zamysł...



Targ w Kresowej chętnie był odwiedzany przez wędrownych kupców, wyrobników<sup>48</sup> i rzemieślników szerokiej profesji, obieżyświatów, pielgrzymów oraz zwykłych kupujących i ciekawskich. Gród ulokowano na pograniczu trzech królestw, więc kwitł tu handel, a miasto czerpało z tego niemałe zyski. Tubylcy nie byli zbyt przyjaźnie nastawieni do przyjezdnych, wśród których trafiali się złoczyńcy, złodzieje i najzwyklejsi awanturnicy, toteż miały tu miejsce przeróżne niemiłe incydenty, a codzienne zaczepki i uliczne bójkę, przerażające się niejednokrotnie w prawdziwe bitwy, nie należały do rzadkości. Z tego to powodu straż patrolowały ulice i zakamarki Kresowej również za dnia, kiedy najwięcej przebywało ludzi w mieście. Gród nie miał dobrej opinii w świecie, ale stanowiąc ważny punkt handlowy, miał łaski u króla i liczne przywileje, rajcy zaś nieomal nieograniczoną swobodę w podejmowaniu wszelkich istotnych i strategicznych dla miasta decyzji.



Mijała właśnie karawanę stojących w rzędzie wielbłądów przygotowywanych do drogi. Fascynowały ją te zwierzęta i słyszała, że odbyły bardzo długą podróż z odległego, egzotycznego kraju. Nie mogła oderwać od nich wzroku, kiedy tak dumnie i z taką lekkością kroczyły obciążone wielkimi pakunkami, a ponadto stroiły śmieszne miny i zabawnie ryczały. Pamięta doskonale, kiedy trzy lata temu mama pierwszy raz przyprowadziła ją do grodu. Wtedy to zobaczyła idącego ulicą wielbłąda i o mało nie przewróciła się z wrażenia.

— Matuś, azali tenci koń zachorzał<sup>49</sup>? Dlatego wygląda tak śmiechliwie<sup>50</sup> i takiegoż ma garba?

— Córús, nie koń to, ino wielbłąd — tłumaczyła matka, ledwo powstrzymując się od śmiechu.

— Wielbłąd? — dziwiła się łypiącemu na nią ślepiami zwierzęciu.

— Ano. Onże z inszego kraju. Daleckiego, kaj<sup>51</sup> wszędy ino piach. Drzewa tamoj nie upatrzyysz, krzoków zaś tyle, co kot upłakał.

— Ino piasek?

— Ino! A w onym garbie onci wodę niesie. Dla się i kupców.

— Wodę? W garbie?

Teraz już całkiem szła zdziwiona z otwartą szeroko buzią i patrzyła na wielbłąda z jeszcze większym dla niego podziwem.

— A jakoż to kupcy czerpią z niego wodę?

— A bo ja wiem? Spode chwosta pewno jakoś.

Długo jeszcze potem wspominały z matką tamto wydarzenie i żartowały sobie. Od tamtej pory na wspomnienie pierwszego spotkania z jednogarnnym wielbłądem na jej buzi mimowolnie rozkwitał uśmiech. Teraz wielbłądy jej nie dziwiły, jednak tajemnicą dla niej pozostało, jak kupcy ze zwierzęcia wodę spuszczaają i jak do garba wlewają, bo przecież musieli jakoś to robić.



Zrobiło się tłoczno. Wąska, Północna Brama skutecznie spowalniała wymarsz z miasta. Wartownicy przy bramie, zamiast pomagać, przeszkadzali w płynnym ruchu wychodzących i wchodzących przez nią ludzi. Chodzili pośród nich i wyrywkowo przeprowadzali kontrolę. Oficjalnie poszukiwali nielegalnie upolowanej zwierzyny i wnoszonej bez wymaganego pozwolenia broni. Prawda tymczasem była zupełnie inna. Zabierali ludziom to, co wpadło im w oko, sprzedawali zrabowane łupy i przepijali pieniądze w pobliskiej gospodzie. Nikt się nie buntował. Nikt nie protestował. Nikt nie chciał podpaść strażnikom zwanym przez grodzian<sup>52</sup> obelżywie – grodoźmije. Ludzie najzwyczajniej bali się sprzeciwić, lękali o swe zdrowie i życie.



Powoli podchodziła do wyjścia z grodu. Wysokiej na ponad siedem metrów Północnej Bramy wbudowanej w kamienną prostokątną basztę, wchodzącą w skład obwarowań miejskich. Mur grubości około trzech metrów z czterema basztami okalał całe miasteczko i miał służyć obronie przed ewentualnym atakiem.

Tak jak większość przyjezdnych, nie lubiła przechodzić koło srogich wartowników i tak jak wszyscy ona również się ich bała. Szczególnie jednego, który kilka razy zaczepił ją na targu. Próbował być sympatyczny, przekonywał, że nie ma złych zamiarów, choć z oczu źle mu patrzyło i ogólnie nie zrobił na niej dobrego wrażenia.

Był to mężczyzna średniego wzrostu lat dwudziestu pięciu, przystrzyżony na jeża. Twarz miał prostokątną z wyraźnie zarysowaną linią brody,

oczy lisie, a usta wąskie i prawie niewidoczne sprawiały wrażenie, jak gdyby nerwowo je przygryzał. Pomimo służby w armii nie dbał o wygląd i jak domniemywała, nie był rycerzem, lecz najemnikiem służącym wyłącznie dla pieniędzy. Nosił się niechlujnie, odzienie miał poplamione i poszargane, paskudnie pachniał i rzadko kiedy bywał w pełni trzeźwy. Kiedy podchodził z nagłą, próbował zagadywać, lecz ona opuszczała nisko głowę i milczała. Raz nawet dawał jej pieniądze.

— To dla cię — oznajmił i położył przed nią nabity drobnymi monetami skórzany worek.

Zerknęła na sakiewkę i bez słowa odsunęła ją od siebie.

Zerwał się w złości, zabrał pieniądze i rzucając pod nosem obrzydliwe przekleństwa, chybkiem krokiem odszedł. Więcej tego nie próbował, aż pewnego razu:



To wydarzyło się cztery miesiące temu. Siedziała na słomianej macie otrzymanej w podarunku od czarnolicego kupca. Wykładała na płótno borowiki, kurki i maślaki, trochę leśnych owoców oraz suszonego ziela, gdy zobaczyła, jak do niej podchodzi. Przystanął i rozpatrzył się po targowisku, przykucnął i na powitanie wyciągnął rękę.

— Witaj!

Nie podała mu ręki. Opuściła głowę, przysłaniając oblicze długimi włosami, i onieśmielona czekała co zrobi.

— Nie lękaj się... — ciągnął niezrażony: — Nic ci nie zrobię ani nikomu krzywdy nie dozwolę ci uczynić. Wiesz co? — zrobił krótką pauzę, oblizał usta i wsparł łokieć o kolano: — Grodzisko wielgie, człeków mnogo, a tyś sama. Młodaś i krasa<sup>53</sup>. Chcesz? Możem się podużyć<sup>54</sup>. Jestem wojem. Nie bodejakim<sup>55</sup> wojem. A z królewskiej drużyny. Strzegł cię będę, a ty kiej będziesz mi rada, zagadasz do mię. I cóż ty na to?

Ona nic na to. Siedziała ze wzrokiem utkwionym we własne kolana, pragnąc w duchu, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju. Wcale nie chciała go słuchać, a tym bardziej nie potrzebowała jego przyjaźni. Nie ufała mu i nigdy by mu nie zawierzyła. Poza tym mama przestrzegała ją przed takimi mężczyznami jak ten tutaj:

— Pomnij córuś, kaj w grodzie będziesz. Wszędy tamoj chłopów co to im jedno we łbie. Tyś nieżrała<sup>56</sup>, aleć ładna to ony bedom się za tobom łogładały i czepiały by rzep psiego chwosta. Nie gadaj z onymi. W ślepią

patrzaj łociupinkę, coby cię nie łomamił, zaciągn<sup>57</sup> kajś i brzucha nie zrobił. Tyś córa ubogiego kmiecia<sup>58</sup>, zrobiom ci co, nikt szlochów ni żalów twych nie będzie słuchoł. Złe ci jeno uczynią, a mię zgańbisz<sup>59</sup> i occa swego. Rozumiesz?

— Tak matuś, rozumiem.



Przyglądał się jej w milczeniu. Siedziała z opuszczoną nisko głową i zasłaniała twarz gęstymi włosami.

„Czemuś taka sparta<sup>60</sup> a dziczka<sup>61</sup>?” — rozmyślał, wyraźnie poirytowany: — „Toć<sup>62</sup> jestem dla cię miły”.

Zacisnął silnie zęby. Cierpliwość nie była jego zbyt mocną stroną, a ona zdawała się taka uparta. Rozejrzał się, upewnił, że nikt ich nie widzi, usunął dłoń pod jej brodę i uniośł nieco głowę. Białe jak śnieg włosy dziewczyny rozsunęły się nieznacznie, wsparły na szczupłych ramionach i odsłoniły delikatną buzię. Spomiędzy wąskich kosmków bijących bielą w promykach nisko wiszącego słońca ujrzał jej błękitne jak niebo oczy.

Patrzyła na niego z lękiem, choć i z pewną dozą ciekawości.

Zamarł z osłupienia i otworzył usta. Nie potrafił wypowiedzieć najmniejszego choćby słowa. Dzień w dzień ją widywał, obserwował ukradkiem z daleka, z bezpiecznej odległości, lecz nigdy nie spoglądał w jej oblicze z tak bliska.

Twarc dziewczyny była jasna, nawet bladolica, jedwabista i zdawałoby się nienaturalnie gładka. Oczy miała śliczne, duże, o cudownym błękitnym kolorze, oprawione wybudującymi rzęsami rzucającymi delikatne cienie na policzki. Brwi proste i ciemne, nieznacznie zarysowane ku dołowi, usta szerokie, wyraźne i czerwone, za to nosek mały i słabo wyrazisty dodawał jej obliczu anielskiej łagodności.

Jej wygląd, a przede wszystkim niewinne, a przy tym lekko wystraszone spojrzenie bez reszty go omotało. Zawładnęło jego umysłem tak dalece, że nie potrafił oderwać od niej wzroku. Patrzył na nią bez reszty zauroczony i naraz zapragnął podejść bliżej, przygarnąć ją do siebie i pocuć zapach jej axamitnej skóry.

„Boże!” — krzyczał jego poruszony umysł, nawoływała rozbudzona dusza i drżały niespokojnie usta.

I kiedy to nieprawdopodobnie miłe i zarazem przerażające uczucie

całkowicie go ogarnęło, coś nagle pacnęło go zdrowo w plecy. Zakołysał się niebezpiecznie i zapierając się kolanem, ochronił przed upadkiem.

— Ej! Dogobert! Kaj się to szlajasz i co tutki robisz?!

Usłyszał za plecami donośny, chrapliwy głos grubego woja.

— Chyba nie rwiesz tej małej?! Co? Toć to chude, drobnuchne i do żgna<sup>63</sup> płaskie! — Ryknął śmiechem, odsłaniając rząd czarnych, popsutych zębów. — No, dalej! Ruszże się i wstawaj z tej ziemi, bo wilka dostaniesz. Idziem do gospody „Pod Rozbrykanym Kucem”, a ty, mój druhu, idziesz z nami.

Dogobert wstał nieśpiesznie. Zaskoczony widokiem kompana z drużyny, odwrócił się do niego i zrobił głupkowatą minę. Uśmiechem tuszował zakłopotanie, acz nie szło mu to dobrze. Piekł raka, wodził nerwowo oczami i zasłaniał torsem dziewczynę.

— Co tutaj robisz? — zapytał podchodzący do nich żołnierz.

Był wyższy od nich o głowę, potężniejszy w barach, czyściej przyodziany i mniej śmierdział.

— Grzyby obzieram<sup>64</sup> — odburknął wykrętnie.

— W ślepiach tejże dziewczki? — zakpił, zerkając na dziewczynę.

Dogobert zrazu nic nie odpowiedział, zacisnął dłonie w kułak, obrzucił druha niechętnym spojrzeniem i precedził przez zęby:

— A tobie co do tego? Moja to rzecz.

— Pewno, że twoja. Aleś kazał czekać wedle<sup>65</sup> strażnicy<sup>66</sup>, tośmy stali by te kołki u płotu, a ty tutaj. Z nieźrałą dziewczką w najlepsze swawolisz... Toć to dziecię przecie...

— Ze łba mi uleciało.

— Ajuści<sup>67</sup>! Widziałem jakeś na nią patrzył. Małoś na nią nie wlaźł.

— Odwał się!

— Zważaj, abych<sup>68</sup> ci nie dowalił, bo ręce od zaranka<sup>69</sup> mię świerzbią! Rzeknij jeszcze słowo, a się przekonasz!

— Co pyskiem kłapiesz by kundys<sup>70</sup> jaki!

— Hola! Hola! Panowie... — wtrącił z pociesznym grymasem gruby mężczyzna: — Coście się tak spienili by piwo w kuflu? Pójdziem, przepijem i po sprawie. Idziem, Dogobercie?

Zbieszonemu Dogobertowi mina zrzędła, wargą opadła, a oczy gniewem zapaliły. Nie przypuszczał, że nakryją go z dziewczyną, a już na pewno, że przerwą mu w tak ekscytującym momencie. Zły był na dru-

hów, lecz przede wszystkim na siebie, że zapomniał o spotkaniu i tak bezmyślnie przyplącił to wypadką.

— Pójdę, co bych to miał nie pójść? Ale ty stawiasz, tłuściochu.

Opasły woj, usłyszawszy niezbyt głośne, a do tego obraźliwe słowa, czerwonego ze wstydu kompana, ponownie ryknął śmiechem. Zabębnił jedną ręką z czułością po pękatym brzuchu, drugą objął Dogoberta za szyję i przyciągnął do siebie.

— Zgoda brachu. Niechby tam było po twojemu — odrzekł, szarpnął go za sobą i cała trójka szybkim krokiem ruszyła ku gospodzie.

Zanim znikli pomiędzy straganami, spojrzął zerkiem<sup>71</sup> na siedzącą dziewczynę. Jeszcze ten jeden raz zapragnął poczuć na sobie to niebiańskie spojrzenie. Zadrzeć na sercu i duszy, dać się opętać i ponieść fantazji, tyle że ona na niego nie patrzyła. Odwrócona w przeciwnym kierunku gadała z jakimś kmieciem, a może nawet uśmiechała się do niego. Złość go zalała, zgrzytnął zębami i zacisnął do bólu dłoń na rękojeści miecza.

— Coś się znów tak zbiesił? — z chichotem pytał otyły towarzysz.

— Nic to... Wspomniałem se co. Ot, i tyle.

— Oj, brachu! Zapijem dziś a zapijem, coby ona szkaradę co ci w ślepią wlała utopić w miodzie...

„Szkaradę?” — pomyślał, mierząc beznamiętnym wzrokiem pulchną japę spalego mężczyzny: — Cepak<sup>72</sup> z cię, ale prawie gadasz. Zapijem i zabawim się na całego!

— Jamen<sup>73</sup>! — przytaknął grubas, machnął w powietrzu wielgaśny znak krzyża, ryknął gromkim śmiechem i powłókł ich za sobą.



To właśnie wtedy ostatni raz go widziała i miała nadzieję nigdy więcej go nie spotkać.



Zmierzala w kierunku wyjścia z grodu. Ludzie sunęli powoli, potracali się, zaczepiali i wpadali na siebie. Z ciekawości podskakiwała i podglądała, co się dzieje na przodzie, ale poza metalowymi czubami hełmów i mrowiem owłosionych czerepów zmierzających ku Północnej Bramie, niewiele mogła dostrzec. Wymęczona całym dniem na palącym słońcu i wygłodniała jak dziki lew na sawannie, zamarzyła być już w wiosce. Ciągnęło ją do domu i oczekującej ją matki, a jednocześnie ociągała się



z powrotem. Bała się ojca. Wpadał w gniew, gdy mało zarobiła, bił je bez przyczyny, wyzywał od najgorszych i dopóki nie padł pod stół powalony alkoholem, wygrażał im i wyganiał z domu. Nie zawsze tak było.

Kiedyś, kiedy nie pił i nie przesiadywał całymi dniami w karczmie, mówił, że bardzo je miłuje i ciężko pracował. Robił mamie przemiłe niespodzianki i przynosił przeróżne podarunki, a dla niej zawsze znalazł czas na zabawę i wspólne pogawędki. I chociaż żyli skromnie, byli ze sobą naprawdę szczęśliwi. Codziennie wieczorami, tuż po kolacji, przy zapadającym zmroku siadywali na ławce przed domem i spoglądając w gwiazdy, opowiadali sobie przedziwne, najczęściej zmyślane historie. Śmiali się z nich razem i społem płakali. To naprawdę były niezapomniane chwile spędzone wspólnie z rodzicami. Później nagle się odmienił. Ludzie w wiosce mówili, że to przez inną niewiastę, ale ani mama, ani tym bardziej ona nie chciały w to uwierzyć. Miarkowała, że musiał być zupełnie inny tego powód.



Pewnego letniego dnia, kiedy słońce wisało w zenicie, bawiła się z burym psem na podwórzu. A że było to kilka lat wcześniej, pies miał dopiero parę miesięcy, a i ona była wtenczas młodsza.

— Bury! Bury! — wołała, rzucając mu patyk.

Ojciec wyciągał wodę ze studni, kiedy na podwórze wjechał na karym ogierze ubrany na czarno mężczyzna. Złknięty jego widokiem cofnął się, wypuścił z rąk wiadro i mimowolnie się przeżegnał.

Jeździec wjechał głębiej, zatrzymał się niedaleko ojca i obserwując go z wysoka, napawał jego strachem. Spieniony ogier głośno prychał, bił kopytami ziemię i z niepokojem dreptał w miejscu.

— Z Jezu Krystem... — wyjąkał pozdrowienie ojciec.

Obcy nie odpowiedział. Zsiadł z rumaka, rozpatrzył się po podwórzu i bez pośpiechu skierował się ku ojcu. Płaszcz, w który był ubrany, szeleścił i pobrzękiwał. Metalowe klamry spinające poły płaszcza wydawały wysokie tony, kroki, choć stawiane na miękkiej trawie dudniły, a ciemne jak węgle oczy śledziły każde jej poruszenie. Zbliżył się do ojca, pochylił nad nim nisko i szepnął niezrozumiale coś do ucha.

Wtedy to uświadomiła sobie, jak wysoki jest mężczyzna i jak mocno się wygina, żeby z nim rozmawiać. Nigdy nie widziała tak wielkiego człowieka i nie zdziwiła się, że ojciec tak bardzo się przeląkł.

Pozostawiony tymczasem samopas ogier podszedł do wiaderka, zanurzył chrapy<sup>74</sup> w lodowatej wodzie i energicznie prychnął. Pił szybko i łapczywie, zerkał na szczekającego Burego chowającego się za jej nogami i rozdzierał nerwowo kopytem ziemię.

Zaciekawiona, o czym rozmawia ojciec z tajemniczym jeźdźcem, podbiegła do niego i chwyciła za rękę, ale ten brutalnie ją odepchnął. Z żalem wielkim i szwendającymi się łzami w oczach wróciła do Burego.

Już po chwili nieznajomy sięgnął za poły płaszcza, a zaraz potem w jego rękę ukazały się błyskające jasno przedmioty.

— To dla ciebie. Bierz. Nie zastanawiaj się, ino bierz — powiedział nieznajomy tym razem mocnym, donośnym głosem.

Ojciec zmieszał się, rozejrzał po podwórzcu, zerknął na czarnego jeźdźca, później na nią, aż w końcu chwycił łapczywie złotem lśniące przedmioty i szybkim, nerwowym ruchem przesypał do sakiewki.

Mężczyzna poklepał go przyjacielsko po ramieniu, zrobił dwa kroki w jej kierunku i zapatrzył się na nią. Badał ją wzrokiem i choć z powodu naciągniętego na głowę kaptura i zakrywającej twarz chusty nie widziała dokładnie jego oblicza, odniosła niemiłe wrażenie, że uśmiecha się do niej. Zdradzały go ciemne wąskie oczy, błyskające radośnie i tajemniczo.

Ojciec również nie spuszczał z niej oczu, a jednak kiedy zatrzymywała na nim wzrok na dłużej, opuszczał głowę. Był przybity, jak gdyby coś cieniem położyło się na jego duszy.

Wielki ogier z piękną grzywą przemaszerował dumnym krokiem po niedużym podwórzcu. Przeszedł obok szczekającego Burego, podskubując soczysto-zieloną trawę, podszedł do jeźdźca i głośno zarżał.

Obcy dosiadł konia, zrobił obrót w miejscu i wraz z rumakiem zamarł. Wyglądali jak cudotwór<sup>75</sup> wykuty w skale, wyrosły nagle z ziemi, utopiony w krajobraz wiejskiego podwórza.

Speszona przenikliwym spojrzeniem zamaskowanego mężczyzny stanęła w pasach i onieśmielona popatrzyła w inną stronę.

Wtenczas jeździec zawrócił, zerknął oziębłe na ojca i oznajmił basowym głosem:

— Pomnij jeno, com ci rzekł. A bacz, abyś dotrzymał umowy.

— Nie przepomnę, panie... Nie przepomnę...

Ojciec skinął posłusznie głową, jezdny nieśpiesznie wyjechał z podwórza, a ona bezzwłocznie pobiegła do ojca.

— Odejdź! — krzyknął prawie jak w przypływie furii, oddalił się szybko i wszedł do stodoły.

Rozplakała się i ukłękła. Nie rozumiała, czym sobie zasłużyła na srogi gniew ojca, czym mu zawiniła i dlaczego jest wobec niej okrutny.

Bury tymczasem hasał jak szalony, szczeakał radośnie, podbiegał i zlizywał z jej buzi płynące łzy odrzucenia i zawodu.



To właśnie od tamtego wydarzenia tak się zmienił. Całymi dniami prze-siadywał w karczmie, wydawał ciężko zarobione przez matkę pieniądze, a gdy wracał do domu, robił się agresywny i lepiej było nie wchodzić mu wtedy w drogę. Od tamtej pory gnębiły ją trzy pytania: Co się wtedy stało? Kim był ów tajemniczy czarny jeździec? I czemu nigdy nie opowiedziała o tym mamie?



Szła ślamazarnym krokiem, pogrążona w myślach o ojcu, bezimiennym czarnym jeźdźcu i matce, kiedy nagle, uderzyła w kogoś stojącego z przodu. Zatrzymana gwałtownie, zaskoczona wypadkiem na drodze zobaczyła przed sobą skórzane buty na grubych podszewkach, wzmacniane metalowymi okuciami. Zrobiła krok do tyłu i zerknęła w górę. Przed nią stał rosły wartownik lustrujący ją groźnie wzrokiem.

Miał na sobie krótką przesywanicę<sup>76</sup> koloru purpurowego z nałożonym na nią stalowym napierśnikiem<sup>77</sup>, zarzuconą na ramiona długą, sięgającą do ziemi pelerynę, a na głowie hełm typu żebrowego z umieszczonym godłem miasta. Twarz miał ogorzałą, poharataną drobnymi bliznami, nosił kilkudniowy gęsty zarost, a brązowe włosy wystające spod metalowego okrycia opadały na jego szerokie ramiona. Stał w lekkim rozkroku, trzymał lewą dłoń na grubym, nabijanym<sup>78</sup> blachami pasie, drugą zaś wspierał na rękojeści masywnego miecza.

— Co tam masz, białowłosa? — zapytał, wskazując ręką osłoniętą stalowym zaręczawiem<sup>79</sup> koszyk.

— Grzyby i ziele, panie — odpowiedziała grzecznie i nieświadomie przycisnęła skórzaną sakiewkę schowaną pod podartą i niegdyś beżową koszulą.

Woj zauważył niespodziewany ruch dziewczyny, rozejrzał się i pewny, że nikt nie patrzy, nieco się pochylił.

— A cóż tam kryjesz przede mną? — zapytał bardzo cicho.

Nie odpowiedziała, złęknioma jak zwykle opuściła głowę. Rozpoznała w nim bowiem mężczyznę będącego na targu wraz z grubym wojem i Dogobertem.

Strażnik błysnął gniewnie orzechowymi oczami, burknął coś niezrozumiale pod nosem i zaczął dawać znaki komuś będącemu bliżej bramy. „Czegoż on ode mnie chce?” — rozmyślała przelęknioma i korzystając z okazji, powolutku, drobnymi kroczkami zaczęła omijać odkręconego do niej mężczyznę.

Kiedy znikła mu z pola widzenia i była pewna, że jest bezpieczna w tłumie ludzi, ktoś szarpnął ją gwałtownie i brutalnie pociągnął za sukienkę. Z siłą wpadła na niego, odbiła się plecami i wypuściła koszyk, z którego pod nogi przechodniów wysypały się grzyby.

Wystraszona zerknęła za siebie i znieruchomiała. Ujrzała Dogoberta.

Pomimo zmienionego wyglądu, albowiem zapuścił gęstą rudą brodę, zdradzały go oczy, i to fałszywe chytre lisie spojrzenie. Na hełmie nie miał też godła miasta, tylko puste po nim miejsce. Tak jakby ktoś je celowo stamtąd zerwał. Stał butnie wypięty z założonymi na skórzanym pasie rękoma, odsłoniętym podrdzewiałym napierśnikiem i zarzuconą na plecy szkarłatną peleryną.

Zrobił krok do przodu. Zrobiła krok do tyłu. Zrobił jeszcze jeden, lecz ona również. Przelęknioma szukała drogi ucieczki, lecz nie miała szans przebić się przez tę żywą ludzką ścianę.

Dogobert wykonał kolejny krok i tym razem nie miała gdzie się cofnąć. Zgiął się we dwoje i poczuła ziejący z jego ciała fetor; zemdlilo ją i zrobiło jej się słabo. Odkręciła maksymalnie głowę, chłapnęła świeżego powietrza i przycisnęła mocniej do piersi skózaną sakiewkę.

— Oddaj to! — rozkazał głośno i groźnie.

— Nie oddam! — krzyknęła, uprawiając go w niemałe osłupienie.



Patrzył na nią zdumionym wzrokiem, nie mógł uwierzyć jej słowom.

„Patrzcie! Takie to płochliwe i milczące, a dziś jakie śmiałe i zadziorne” — pomyślał rozradowany i wyobraził sobie, jaką będzie miał z niej radość później.

Tymczasem krzyk dziewczyny sprawił, że kilku wędrownych kupców i podróżnych przystanęło. Przypatrywali się ciekawie, pokazywali

sobie palcami dziewczynkę, wytykali go i szemrali pomiędzy sobą. I to już mu się nie spodobało. Nie chciał mieć żadnych gapiów. Nie potrzebował przypadkowych świadków. To mogłoby zniweczyć jego plany.

— Czego chcesz od tego dziecka?! — zawołała z tłumu jakaś młoda niewiasta z warkoczem sięgającym do pasa.

— Nie twoja rzecz! To rutynowa kontrola! Ruszać! Zabierać się stąd! Już! — grzmiał wartownik, wymachując rękoma na wsze strony.

Gapie niechętnie poczęli się rozchodzić, krzywo zerkali na wymachującego w złości strażnika i ze współczuciem spoglądali na stojącą bez słowa dziewczynkę.

Tylko niewiasta przychodząca jej z obroną pozostała, obserwowała rozeźlonego Dogoberta. Była bardzo niska i szczupła, a ponieważ stała w sporej odległości od wystraszonej dziewczyny, ta, żeby ją widzieć, musiała stawać na palcach i wyciągać mocno szyję. Na oko mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Twarz miała owalną, usta wąskie, brwi ciemne i niemal proste, a włosy gęste i czarne splecione w długi warkocz. Ogólnie rysy zdradzały azjatyckie pochodzenie, a ciemne skośne oczy płonęły żywym ogniem.

— Ty tam! — Wskazał woj niewiastę, patrząc na nią z ukosa. — Nacz<sup>80</sup> to czekasz? Zabieraj się stąd albo mię spamiętasz! — Zrobił groźną minę, ściągnął brwi na oczy i na dowód, że mówi poważnie, przesunął dłonią zdecydowanym ruchem po trzonie obosiecznego miecza.

— Takiś odważny, suczy synu?! To chodźże! — rzuciła gniewnie niewiasta, sięgnęła dyskretnie lewą ręką za poły skórzanego płaszcza i uczyniła krok do przodu.

Dogobert oniemiał, zamarł zaskoczony widokiem zuchwałej niewiasty trzymającej dłoń w ukryciu. Wyszkolony w kontrolowaniu ludzi i przewidujący z góry tego typu komplikacje odgadł od razu, czym jest ów przedmiot znajdujący się pod kosztownym płaszczem. Zdradzało to ułożenie ręki niewiasty i połyskujący czubek wystającego przy bucie ostrza.

— Airi! — zawołał niedużo wyższy od niewiasty siwowłosy mężczyzna stojący przy jej boku, kładąc dłoń na jej ramieniu. — Patrz swego nosa i odpuść...

— Zejdź mi z drogi, Taro! Ten psi pomiot już jest martwy! — syknęła groźnie i zrobiła kolejny śmiały krok w stronę zbaraniałego Dogoberta.

Ludzie bojaźliwie rozsunęli się na boki, tworząc z ciał żywy tunel,

gdzie na jednym jego końcu stała niska niewiasta, imieniem Airi, a na drugim porażony jej obraźliwymi słowami Dogobert.

— Airi, proszę... — Mężczyzna chwycił ją pewnie za rękę: — Pojmuję twe wzburzenie, ale weź głęboki oddech i pomyśl przez chwilę. On nie jest wart tego, a onej dziewczęce pewnie włos z głowy nie spadnie. Co najwyżej straci dzięgi<sup>81</sup>.

Zerknął pogardliwie w stronę zapatrzonego w nich wartownika i splunął przez zęby.

— Uwierz mi, iżbym sam skręcił gadu<sup>82</sup> kark gołymi rękoma, gdybyśmy nie mieli tych trefnych fantów — szeptał jej do ucha, tak żeby tylko ona to słyszała.

Niewiasta nie odpowiedziała na jego słowa, lecz wyrwała się impulsywnym szarpnięciem. Przygotowana do bitki stała w pozycji gotowej do natychmiastowego skoku, nie spuszczała z Dogoberta wzroku i rozważała, co powinna zrobić. Grzecznie odejść za radą starszego towarzysza, czy może doskoczyć do woja i posiekać go na plasterki. Ustąpiła. Zerknęła z niemocą na obserwującą ją z wielką nadzieją w oczach dziewczynkę, posłała jej ciepły, acz pełen bólu uśmiech, zawróciła w miejscu i znikła w tłumie ludzi.

— Coś takiego... — mruczał pod nosem wzburzony Dogobert, odprowadzając wzrokiem pałającą do niego złością niewiastę, nie mógł uwierzyć w jej bezczelność i zuchwalstwo. — „W inszych okolicznościach, zarozumiała dziewczko, nie uszłoby ci to płazem. O nie!” — dodał w myślach, wyobrażając sobie, co mógłby z nią zrobić w ponurym i ciemnym lochu, pozostając z nią na osobności.

Jakiś czas po tym zająsci strzelał nerwowo oczami po tłumie, musiał mieć absolutną pewność, że wszyscy świadkowie odeszli i nikt na niego nie doniesie. Zerknął na milczącą dziewczynkę z wetkniętym w ziemię pełnym przerażenia wzrokiem, powiódł oczami po wartowni i po raz ostatni ogarnął cisnących się do bramy ludzi. Wszystko wyglądało po dawnemu, nic podejrzanego nie wychwycił, mógł spokojnie kontynuować przerwane zajęcie.



Licyła na to, że krzykiem zwróci na siebie uwagę i wcale się nie pomyliła. Jednocześnie zrozumiała, że nieważne jak głośno będzie wołać, nie będzie miało to znaczenia, gdyż nikt nie miał odwagi stanąć w jej obronie.

Strach ich paraliżował lub obojętność mieli w sercach. Tak sobie właśnie pomyślała i pogodzona z tą jakże smutną i przykrą prawdą, że zdana jest wyłącznie na siebie, zadarła głowę, spojrzała w ciemnogranatowe niebo i poczuła wieczorny wietrzyk. Z zapadającym mrokiem nadciągało rześkie powietrze, głaskało chłodem włosy, lizało nieosłonięte ręce i przenikało pod sukienkę. Tak bardzo chciała, żeby ta straszna, nieprzyjemna chwila dobiegła końca. Tak mocno pragnęła być już w przytulnym i bezpiecznym domu.

„Mamciu, pomocy!” — wołała w duchu, spoglądając przełęczniona na strażnika spod opuszczonych na twarz białych kosmków.



Dogobert doskoczył do niej, przybrał minę, jak gdyby zamierzał zrobić jej krzywdę i wycedził przez zęby:

— Dawaj to! — Pociągnął ją brutalnie za rękę przyciskając do piersi kurczowo sakiewkę.

Ból niczym prąd elektryczny przemknął po jej ramieniu, boleść wykręciła jej buzię w płaczkliwym grymasie, a oczy naszły łzami, nadając im wryzistego blasku.

— Nie oddam! — wrzasnęła z jeszcze większą nienawiścią, przycisnęła silniej sakiewkę i spróbowała wyrwać się z uścisku wartownika.

Zaczęli się szamotać. Woj szarpał dziewczynką i próbował bezskutecznie odciągnąć jej rękę, podczas gdy ona zawzięcie stawiała mu opór. Tłukła weń wolną ręką, kopała, gdy tylko miała ku temu okazję, oraz co było najskuteczniejszą jej bronią, pluła mu w gębę.

Przechodzący obok ludzie z przerażeniem patrzyli na wściekłego strażnika szarpającego brutalnie dziewczyną, lecz pomimo ogromnego wzburzenia nikt nie stanął w jej obronie. Nikt nawet nie miał odwagi choćby rzec jednym słowem.

— Tfu... — wyrzucały ślinę spienione usta dziewczyny.

Wartownik odchyłał się do tyłu, ocierał płynącą z twarzy flegmę i fioletowy ze złości jeszcze bardziej nią targał.

— Dawaj to! Słyszysz?! Dawaj...!



Z daleka, z bezpiecznej odległości, tuż przy Północnej Bramie, całą tę sytuację obserwował żołnierz, który pierwszy podszedł do dziewczyny.

Nie był tym zachwycony. Nie podobało mu się to wszystko. Dogobert zrobił z tego niebezpieczne widowisko. Nie tylko dla siebie, lecz także dla niego. Bał się, że przebywający w strażnicy oficer zobaczy, co się tu wyprawia. Rosło w nim napięcie, oczy niespokojnie biegały z miejsca na miejsce, śledziły wartownię, przemykały po tłumie i zatrzymywały się na zaciekłe walczącej dziewczynce.

— Nuże<sup>83</sup>! Ruszać się! Nie strzymawać<sup>84</sup> ruchu! — gromił ciekawskich ludzi, a tych zwlekających i niesłuchających jego rozkazów popychał chamsko do wyjścia.



Dości<sup>85</sup> tego! — warknął wściekle Dogobert, ścisnął rękę dziewczynki jak kleszczami i mocno ją wykręcił.

Ból wykrzywił jej oblicze w piekielnym grymasie, oczy przelały przezroczystym płynem, a po policzkach spłynęły dwie maleńkie łezki i zatrzymały się na czubku brody. Nie mogła się poruszyć. Przykucnęła na kolanie i obserwowała pochylającego się woja, wkładającego bez ceregieli rękę pod jej koszulę.

— Proszę, niechże mię ktosik<sup>86</sup> poratuje... — wyszeptwała, oczekując gwałtownego szarpnięcia cienkiego rzemienia, za którego pomocą uwieszoną miała na szyi podarowaną przez ojca sakiewkę z zajęczej skóry.

Jakże się zdumiała, kiedy nagle wszystko zamarło. Dogobert znieruchomiał, pozostał w pozycji, w jakiej ją pochwycił, i milczał. Wokoło uci- chło, ludzie stali w zamarcu, przyglądali im się ze zdumieniem i wstrzymywali oddech. Szklącymi oczami, lekko oszołomiona, dostrzegła czyjąś dłoń zacisniętą na ręce trzymającego ją wartownika. Ktoś go powstrzymywał i nie dawał mu wykonać najmniejszego ruchu. Przewyciężyła boleść, wykręciła się do tyłu i ujrzała wysokiego mężczyznę w kapturze trzymającego za ręce Dogoberta.

Kim był niezajomy obrońca narażający dla niej swoje życie? Chciała mu się przyjrzeć, ale nadaremnie. Z bólem w ramieniu i w niewygodnej pozycji niecierpliwie wyczekiwała na dalszy bieg wydarzeń. Serce przyśpieszyło jej z wrażenia, oddech się pogłębił, a ciekawość mało nie rozsadziła. Na szczęście długo czekać nie musiała. Już po chwili odniosła wrażenie, że pod wpływem coraz to mocniej zaciskającej się dłoni niezajomego ucisk wartownika na ręce stopniowo maleje. Dogobert puścił



jej wykręconą rękę, a zaraz później trzymaną sakiewkę. Była wolna, odsapnęła i szybko powstała.

Mężczyźni wyprostowali się momentalnie, stanęli naprzeciwko siebie i zmierzyli się gniewnym wzrokiem. Widząc to, z wrażenia otworzyła usta. Nieznajomy był przeogromny i Dogobert wydawał się przy nim taki malutki.

— Jak śmiesz, chamie?! Puszczaj! — Dogobert szarpnął się, wbił wściekle oczy w mężczyznę i zgrzytnął zębami.

— Czego chcesz od niej? — zapytał obcy basowym głosem.

Nie czuł przed Dogobertem odrobiny strachu czy zmieszania. Zastygł w bezruchu, trzymał go za ręce i nie spuszczał z niego wzroku.

— To moja rzecz! Nic ci do tego! — odburknął cały czerwony ze złości wartownik. — Puszczaj, gidzie<sup>87</sup>!



Za wszelką cenę starał się wyrwać z potężnego uścisku zakapturzonego mężczyzny. Ten jednak bez wysiłku trzymał go za nadgarstki i nie pozwalał mu się ruszyć. Wściekły rzucał piorunami i szarpał unieruchomione członki, lecz gdy tylko to robił, tamten jeszcze silniej zaciskał dłonie i miażdżył mu ręce.

— Puszczaj! Słyszysz, gidzie zatracony?! Puszczaj!

Nieznajomy nic sobie z jego krzyków nie robił. Był wielki, górował nad nim wzrostem i posturą. Na prędko ocenił go na dwa metry i dwadzieścia centymetrów. W życiu nie spotkał tak potężnego człowieka, czuł trwogę, a równocześnie nie mógł się pogodzić z myślą, że nieznajomy podniósł rękę na przedstawiciela prawa. Wszak on tu stanowił prawo! Dogobert! A nie jakaś tam sparszywiała gadzina i przybłęda!

— Puszczaj, pachole jeden! Puszczaj, bo spamiętasz! — wysyczał, kolejny raz szarpnął rękoma, lecz i tym razem bezskutecznie.



Kilkadziesiąt kroków dalej strażnik pilnujący przy bramie obserwował z zaintrygowaniem stojących naprzeciwko siebie mężczyzn. Postawnego nieznajomego i malutkiego przy nim Dogoberta. Nie reagował i nie szedł na pomoc kompanowi. Nie zamierzał kiwnąć nawet małym palcem. Nie miał ochoty brać w tym udziału.

„Azali on myśli, że nie wiem, co mu po czerepie chodzi? Zech<sup>88</sup> głup-tak jaki?” — rozmyślał poddenerwowany.

Wiedział doskonale, że Dogobertowi nie chodziło o pieniądze. O te kilka nic nie wartych miedziaków, które miała przy sobie ta mała, ale o nią. Miał z tą dziewczką plan jakowyś, tyle że nie wiedział jaki. Zły był na siebie, zły na nieznajomego, a nade wszystko na Dogoberta za cyrk urządzony przed strażnicą.

— Durek<sup>89</sup>!

A niech mu ten wielkolud kark skręci. Przynajmniej będzie miał święty spokój. Inaczej ten kretyn pociągnie go za sobą pod sąd wojskowy, a on w przeciwieństwie do Dogoberta kochał drużynę i nie zamierzał z jego powodu się z nią rozstawać.

Ciemniało, zrobiło się chłodniej. Po grodzie biegali młodociani pochodnicy<sup>90</sup>, rozpalając uliczne, specjalnie do tego celu przeznaczone pochodnie. Coraz trudniej było się w tym wszystkim rozeznąć. Zrobił kilka kroków do przodu, wsparł dłonie na pasie i z uwagą obserwował.



Mylisz się, żołnierzu. Teraz to nie twoja, ale moja sprawa — odparł nieznajomy identycznym co wcześniej basem.

Puścił wartownika i nie spoglądając za siebie, ruszył wartkim krokiem w stronę strażnicy.

Dogobert zaskoczony niespodziewanym manewrem, stracił równowagę, po czym przecisnął się pomiędzy blokującymi mu drogę ludźmi i pognał za szybko niknącym mężczyzną.

— Stój! — zdążył krzyknąć, ale było już za późno.

Mężczyzna pochylił głowę i znikł w niskich drzwiach wartowni.

Woje popatrzyli na siebie spłoszeni i jak na komendę zajęli wyznaczone im stanowiska pomiędzy basztą a strażnicą. Dobrze wiedzieli, że nie ukryją tego, co tu zaszło.

— Coś naczynił<sup>91</sup>, matole! — warknął woj do Dogoberta.

— Sameś matole! — odparł i obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

Zawrzało w nich obu, warknęli jak psy na siebie, lecz żaden nie ruszył się z miejsca. Nie było czasu i sposobności na zwadę.



Dziewczynka przez chwilę patrzyła z zainteresowaniem, jak wielki nieznajomy niknie w wartowni. Skołowana, rozejrzała się po ziemi w poszukiwaniu upuszczonego koszyka i chociaż ciemność sprawiała trudność,

znalazła go kilka kroków dalej. Był pusty, wokół niego leżały rozdeptane grzyby. Zanim go podniosła, rozmasowała obolałe ramię, gdzie spostrzegła na przedramieniu wielgaśnego siniaka.

„Ładno<sup>92</sup>. Ciekawam, co rzeknie matuś, jak to obaczy?”. — Strwożyła się tą myślą.

Postanowiła, że w drodze do domu coś wymyśli. Wcale nie chciała kłamać i najczęściej tego nie robiła. Tym razem było inaczej. Gdyby mama poznała prawdę, posłyszała, jaką miała dziś przygodę, z całą pewnością zabroniłaby jej samej chodzić do grodu.

Ogarnęła się, poprawiła jasnyniebieską sukienkę i przeczesła rozrargane w szarpaninie włosy. Wytarła wilgotne policzki w szeroki rękaw koszuli i ruszyła w stronę bramy, trochę jeszcze roztrzęsiona, a mimo to uradowana niespodziewaną pomocą nieznanego mężczyzny.

Tłok już zelżał, ludzie sprawnie opuszczali miasto, ona zaś niezaczepiana przez nikogo w lot dotarła pod basztę. Tu też spostrzegła wychodzącego z wartowni mężczyznę w kapturze. Za nim podążał niski rycerz, rozglądając się wokoło.

Ujrzał ją, machnął ręką i ruszył ku niej wartkim krokiem. Zatrzymała się. Już z daleka rozpoznała, że jest to wysoki rangą oficer, będący prawdziwym rycerzem z urodzenia. Jego napierśnik spod osłaniającej go szkarłatnej peleryny złocił się i pobłyskiwał w świetle płonących pochodni. Po jednej stronie bogato zdobionego pasa przytwierdzony miał miecz w metalowej pochwie, po drugiej bojowy sztylet. Stał dwa kroki przed nią i wtedy poczuła rozsiewający się w powietrzu przyjemny aromat wonnych olejków zmieszanych najprawdopodobniej z winem. Był to starszy wiekiem mężczyzna, niski i prawie bezwłosy, gładko ogolony, z niedużymi oczami, z nierozpoznawalną w mroku barwą tęczyówek. Z bliska dostrzegła, że napierśnik oficera zdobiły grawerunki w wytłoczonym na piersi rycerskim herbem, na którym rozpoznała dwa zwrócone do siebie pochylające się byki. Widniał też napis, którego nie potrafiła odczytać. Zresztą w ogóle nie potrafiła czytać.

— Jak ci? — zapytał.

— Anna Maj, panie — przedstawiła się grzecznie, okazując niskim ukłonem należny rycerzowi szacunek.

— Grodowaś?

— Nie. Jam zza boru.

— Z sioła<sup>93</sup>, „Za Borem”?

— Ano.

— To, co samiuszki<sup>94</sup> tutaj robisz o tej porze?

— Grzyby sprzedawałam, a kiedyś do dom<sup>95</sup> wracała, tegdy... — Zamilkła.

Patrzyła na oficera, przestępując z nogi na nogę.

Wyczekiwał cierpliwie na urwane wyjaśnienie, ale gdy się zorientował, że nic więcej mu nie powie, zapytał:

— Tamci jakowąż krzywdę ci uczynili? — Wskazał stojących na baczność wartowników.

— Nie, panie.

— Doprawdy? Ówci człek... — Tym razem wskazał palcem zakapturnzonego mężczyznę: — Twierdzi coś innego.

Rycerz zgromił ją surowym wzrokiem.

— Nie lękaj się, ino gadaj po prawdzie, jako było. Kary srogiej nie ujdą. Daję ci rycerskie słowo.

— Nie uczynili mi nic złego — zełgała, czerwieniejąc jak czereśnia, a że panowała pomroka, dobrze zgadywała, iż oficer tego nie zobaczył.

— Pewnaś? — Nastroszył brwi, minę miał poważną, nieomal srogą.

— Pewnam — odpowiedziała i zobaczyła, że oficer z niedowierzaniem kręci głową.

Dobrze wiedział, że go kłamie, a jednak siłą nie mógł jej zmusić do mówienia. Nagle jego lico spowiło się smutkiem, jakieś niemiłe wspomnienie w nim ożyło, sprawiło wielką boleść i przeniosło gdzieś w zamierzchłą przeszłość. Usta mu zadrgały, oczy szeroko wlepiął w dziewczynkę, a serce głośno zastukało pod metalowym pancerzem.

Zauważyła tę zmianę i zmieszana jego zachowaniem przeniosła wzrok na stojącego przy strażnicy mężczyznę. Nieruchomy, oparty o kamienną ścianę obserwował ich stamtąd.

„Ach, gdybym mogła przyjrzeć się jego twarzy”. — Wytrzeszczała z wysiłkiem oczy.

Długie pochodnie rozświetlały plac przy wartowni. Żółtawe światło bez trudu docierało do ulicy, przy której stał mężczyzna, lecz pomimo że jasne nie oświetlało wnętrza głębokiego kaptura. Oblicze nieznanego pozostawało w mroku, a czarna plama w miejscu głowy straszyla bez-

denną dziurą i sprawiała wrażenie, jak gdyby pod nakryciem nie było ludzkiego ciała.

Zapatrzona w mężczyznę z niezrozumiałym otępieniem poczuła się raptem dziwnie. Coś nią wstrząsnęło, zimno przemknęło po kręgosłupie niczym dotknięcie niewidzialnej ręki. Poczuła jego wzrok na sobie i drgnęła. Nie z zimna, lecz z dotkliwego niepokoju.

— Cóż ja ci to rzec miałem?

Wyrwały ją z zamyślenia słowa oficera; sprawiał wrażenie człowieka wybitego z głębokiego letargu.

— Podaj rękę, Anno.

Wahała się, patrzyła na niego krągłymi oczami i dopiero kiedy wyciągnął pierwszy na zachętę, podała mu swoją.

Rycerz otworzył dłoń dziewczyny, położył na niej metalowy przedmiot i powiedział stanowczym tonem:

— A teraz... Chybaj<sup>96</sup> do dom, a duchem<sup>97</sup>. Gościnięc niebezpieczny po zmroku, a tyś młódka.

— Ni ćmy<sup>98</sup> się nie stracham, ni ciemnych traktów, panie — odparła z dumą i ciągnięta ciekawością utkwiała wzrok w otwartej dłoni.

— Pomnij ino, a dobrze. Raz cię po ciemnicy obaczę, a przysięgam, iż do lochu zawrę<sup>99</sup>! A szcury tamok wielachne<sup>100</sup> by koty! Rozumiesz?

Nie odpowiedziała, z urażenia nie słuchała, oficer zaś nic już nie mówiąc, zrobił zwrot na pięcie i ruszył ku stojącym na baczność wojom.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom, w zdumieniu spoglądała na dłoń z leżącym na niej najprawdziwszym złotym dukatem. Pierwszy raz trzymała tak drogocenny przedmiot.

„Ależ się matuś ucieszy” — przemknęło jej w myślach i gdyby nie opanowała zawczasu radości, z całą pewnością by wrzeszczała. — Dziękuję! — krzyknęła w stronę szybko odchodzącego oficera.

Ten, zatrzymał się, odwrócił i odkrzyknął:

— Nie mnie dziękuj, Anno, lecz jemu. — Wskazał stojącego przy wartowni nieznanego: — Mnie, dziecko, nie stać na taką utratność<sup>101</sup> — dokończył tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Anna odwróciła się do zakapturzonego mężczyzny, pomachała mu, uśmiechnęła się szeroko i zawołała:

— Dziękuję, panie! Dziękuję!

Mężczyzna odmachnął, a wtenczas coś w świetle pochodni błysnęło przy jego rękawie.

„To chyba srebrna albo złota nitka” — pomyślała i bez zastanowienia, jak z procy wystrzelona ruszyła biegiem do domu, miała dość wrażeń jak na jeden wieczór.

— Ależ się matuś ucieszy! — Podskakiwała pogodnie jej dusza, ciągnęły do domu rozpędzone bose stopy.



Oficer tymczasem zrobił kilka nerwowych kółek wokół stojących na baczność wartowników. Z wetkniętym wzrokiem pod nogi i rękoma wspartymi na plecach rozważał, co ma z nimi teraz począć. Nie było to wcale takie oczywiste. Sprawa była skomplikowana. Przystanął przy starszym i jął mu się przyglądać, jakby próbował rozszyfrować jego myśli.

Wyższy prawie o dwie głowy żołnierz patrzył na wprost siebie, ponad wpatzonego w niego oficera, twarz miał stężałą, usta zaciśnięte, oczy niespokojnie pełgające po obserwujących go przechodniach.

— Brenardzie! Zali całkiem tyś ocipiał?! Do szczętu ci odbiło?! We łbie się poinaczyło<sup>102</sup>?! — zaczął wrzeszczeć jak szalony, nie zważając na idących ulicą ludzi i na zbierających się ciekawskich.

— Panie kapitanie... Ja...

— Milczeć! Pod sąd wojskowy pójdziesz! Społem z tamtym osłem! Wybatożyć każe tak, iżę rodzona mac<sup>103</sup> was nie pozna! Do koni nago przytroczę i dotąd was włóczyć będą po majdanie<sup>104</sup>, ażę<sup>105</sup> skóra na rzyci<sup>106</sup> wam się złuszczy! — krzyczał kapitan.

— Panie ka...

— Milczeń nakazałem! — ryknął potężniej i przybliżył się bardziej. — Jużę ja was urządzę, sucze syny! Krowie chwosty! Świńskie ryje! Spamiętacie wy mnie długo a dobrze!

Czerwony z wściekłości, ze śliną spienioną na ustach i gniewnymi bruzdami na czole zrobił krok do tyłu. Postawę miał wyprostowaną, zadziorną niczym rozsierdzony kogut, dłoń nerwowo zaciskał na trzonie miecza. W końcu zapanował nad emocjami, otarł pot z czoła i odwrócił się do zgromadzonych przed sobą gapiów. Zebrani w półokręgu, przyszli obejrzyć interesująco zapowiadające się widowisko, liczyli na chłostę winowajców lub atrakcyjniejszą jeszcze karę. Wszystko bowiem było moż-

liwe. Widzieli kapitana gromiącego wystraszonych mężczyzn i aby było patrzeć, jak publicznie ich zlinčuje.

— Pod pręgierz ich! — ktoś napomknął z gromady. — Końmi powłóczyć! — dodał inny. — Giczoły<sup>107</sup> łamać! — dopowiadał ktoś jeszcze.

Kapitan jednak nic sobie z tego nie robił. Wodził oczami po tłumie, twarz miał świeżą, policzki zaróżowione od niedawnego wzburzenia, a czoło w płomieniu żagwi<sup>108</sup> błyszczące.

— Ech, Brenard, Brenard — wznowił spokojnie mowę oficer, ciężko wdychając: — Kiedym brał cię z oćcowego gniazda, obiecałem wujem cię uczynić, i Bóg mi świadkiem dotrzymałem obietnicy. A teraz nowotną<sup>109</sup> składam i na świadków biorę tychże zacnych ludzi, że świnie będziesz pasł jak ongi<sup>110</sup>. Nie miecz ci nosić u pasa z dumą by rycerz, zali sulicę<sup>111</sup> przy boku i tarczę, a wić z gałęzi brzozy!

Na te słowa ludzie ryknęli gromkim śmiechem, widząc uradowaną gębę kapitana świecącego do nich pozostałymi zębami. Tyle że nie zdawali sobie sprawy z tego, iż kapitan wcale nie mówił do wystraszonego woja. Że właśnie teraz, przemawia do zgromadzonego tłumu. Nie przypuszczali, że to tylko mistrzowska gra aktorska. Spektakl, w którym on grał główną rolę, a oni byli nieświadomymi niczego widzami. Ośmieszał publicznie swoich wojów, żeby ich ochronić. A co ważniejsze, by chronić własną skórę. Wciąż miał w pamięci początki dowodzenia w grodzie i słowa zaufanych sobie ludzi:



Rajcy są wam nieprzychylni, kapitanie. Zmowę chytrą uknuli, baczenie na was mają. Powinniście na siebie zważać.

— Nie taki diabeł straszny jak go malują — odpowiadał beztrasko, lecz wkrótce się przekonał, że nie miał racji.

Chodzili za nim, posyłali na niego najlepszych ludzi, szkodzili mu i wyczekiwali najmniejszego błędu z jego strony. Robili wszystko, żeby tylko mu dopiec i móc go zwolnić, gdyż z powodu burzliwej przeszłości nie był tu mile widziany.

— Dobrym onże nie świeci przykładem! Ani dla wojów, ani dla grodzian! Ani nawet dla nas! — gromił na ratuszu jeden z dostojników, bijąc pięścią w dębowy stolik.

— I cóż to? Kiej się z nas śmieje... — odpowiadał drugi spokojnie, bez emocji. — Onci ważny personat<sup>112</sup> i poparcie Henryka ma... Zrobić nic

nie można. Ja łba nadstawiał nie będę. Trza nam czekać, mości panowie. Prędzej zali później powinie mu się noga, a wtenczas zniesiem go prawem ze stopnia<sup>113</sup> i precz wydalim.

— Zwabim go czym! Srebrem aboż złotem przekupim!

— Głuptak onże nie jest, mości Zaręba. Z rodu znanego i majątnego. Onci na to nigdy nie przystanie, aleć próbować, i owszem nie zaszkodzi. Jeno tak, iżby śladu nie ostawić. Król nam nie przepomni, aczli<sup>114</sup> się zwiedzie<sup>115</sup>. Polecim tedy ze stolców<sup>116</sup> by jakie smardy<sup>117</sup>. Poletka uprawiać będziem wówczas do zgonu, woły wypasać i ze świniami dysputować w chlewie. Tegoć chcecie, panowie rajcy? Tego?

— Mądre słowa, panie Pogorzelski. Bardzo mądre słowa — wtrącił sędziwego wieku rajca: — Nie wojować nam z silniejszym ani z królem, lecz cierpliwie by pająk na muchę czekać...



To prawda. Nie mieli innego wyjścia. Musieli zaakceptować decyzję monarchy, przekazać mu stanowisko dowódcy drużyny stacjonującej w Kresowej, niemniej cierpliwie czekali. Czekali, aż wypadnie i będą mogli usunąć go z powierzonej mu funkcji, a następnie zastąpić kimś swoim. Nie mógł im na to pozwolić. Za dużo miał do stracenia.

Zerknął mimochodem w stronę opartego o wartownię mężczyzny w kapturze i się zamyślił: „Jakbym gdzieś już go spotkał”.

Chwilę dumął, ochłonał i spojrzał groźnymi błyskami na gapiów wpatrzonych w niego jak w mistrza ceremonii ślubnej, oczekujących z podnieceniem dalszych atrakcji.

— Rozejść się! Koniec widowiska! — nawoływał, wymachując ręką nad głową, jak gdyby rzucał lassem. — „Dostali co chcieli. Szemrac nie będą za plecami, zech dziewczkę zlekceważył i popuszczam wojom” — pomyślał i poczekał, aż odejdą.

Ludzie szybko się rozpiezchli. Wielu z nich komentując po drodze to wydarzenie, czuło zawód. Nie tego oczekiwali po zaperzonym kapitanie, nie z tego był znany srogi dowódca stacjonującej tu drużyny i nie takiego finału wyczekiwali.

Kiedy plac opustoszał, kapitan nieśpiesznym krokiem podszedł do drugiego woja, stanął przed nim w lekkim rozkroku, wcisnął dłonie za pas i powiedział ostrym tonem:



— To ostatnie napomnienie, Dogobercie. Źle o tobie prawią na mieście i nie zamierzam znosić tego dłużej. Zrozumiano?!

— Tak jest, panie kapitanie! — wykrzyczał posłusznie Dogobert, ale wewnątrz kipiało w nim ze złości.



Nienawidził oficerów, nie cierpiał wojska, i gdyby nie korzyści, jakie z tego czerpał, nigdy nie wstąpiłby do armii. I wcale nie chodziło o marny żołd, tylko o łapówki, jakie dostawał od przyjezdnych i mieszkańców grodu za przymykanie oczu na przeróżne ich świństwka i przekręty. Właśnie to poboczne źródło utrzymania stanowiło dlań główny dochód. Pozwalało oddawać się bezceństwu i przyjemności, hazardowi i chlaniu do upadłego oraz figlowaniu z małoletnimi dziewczkami. I gdyby nie ten obcy mężczyzna w kapturze, ten dzień byłby ostatnim w jego służbie. Wszystko się pogmatwało, pomieszało, lecz wycofać już się nie mógł, a może raczej nie chciał.



Kapitan ponownie podszedł do Brenarda, chwycił go zdecydowanie za rękę i pociągnął za sobą. Odszedł z nim na bezpieczną odległość, położył dłoń na jego szerokim ramieniu i popatrzył w oświetlone pochodnią oczy.

— Odtąd radź sobie sam, Brenardzie — wyszeptał.

Poklepał go na odchodne w ojcowskim geście i pozostawiając załamanego mężczyznę z własnymi myślami, poszedł nieśpiesznym krokiem do wyczekującego na placu nieznajomego.



Zakapturzony mężczyzna przyglądał się z uwagą małemu, acz ruchliwemu oficerowi. Obserwował go podczas rozmowy z Anną, kiedy gromił publicznie swoich podwładnych i gdy szeptał coś skrycie Brenardowi. Zauważył, że oficer podczas tych rozmów, nie do końca jest szczery, ale nie obchodziło go, dlaczego tak postępuje.

— Chceszli wnieść skargę? — zapytał kapitan dość czupurnym głosem, zmarszczył czoło i zaciągnął brew na oko.

— Nie — stwierdził krótko obcy i sięgnął po skórzane wory.

— To i dobrze. — Głos oficera zelżał, czoło rozjaśniało, a brew przybrała pierwotne położenie.

Niepotrzebny był mu rozgłos. To mogłoby mu zaszkodzić i utrudnić dalszą służbę. Lepiej było dla niego i jego wojów nie nagłaśniać tej nieprzyjemnej, acz godnej potępienia sprawy.

— Przydałby mi się taki wielgolud<sup>118</sup> w drużynie. Nie chcesz wstąpić do armii? Zostać drużynnikiem?

— Nie jestem zainteresowany.

— Służyłbyś królowi.

— Nikomu nie służę. Ani małym, ani tym wielkim.

— Szkoda. Bo król dla takich jak ty hojny. Daleko byś zaszedł.

— Nie szukam sławy ani bogactwa.

— Ano widno. Szczodryś jako mało który. — Ogarnął nieznajomego bystrym spojrzeniem. — A skoro nie wnosisz skargi i nie chcesz do nas dołączyć, nie naciskam i nie strzymuję. Bądź zdrow! — dodał na pożegnanie i machnął ręką, jakby odganiał od siebie jakiegoś okazałego owada.

Gdy mężczyzna w kapturze zarzucał worki na ramię, kapitan, drobiąc szybkie kroki, zbliżał się już do strażnicy.

— Do zobaczenia, kapitanie Wasal — pożegnał go chłodno mężczyzna charakterystycznym basem i chybką ruszył do bramy.

Rycerz na jego słowa przyhamował, popatrzył za odchodzącym w ciemność mężczyzną i zawołał:

— Skąd u diabła wiesz, jak się nazywam?!

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Przybysz zniknął w mrocznej bramie, pozostawiając kapitana z zawieszonym w powietrzu pytaniem i zdumioną miną.

„Skąd on wie, jak się nazywam?”.

Podrapał się po głowie i z tą zaprzętą myślą wszedł do budynku.



Dogobert stał wściekły. Z nienawiścią wlepił gały w nieznajomego rozmawiającego z kapitanem. Przezeń cały jego misterny plan legł w gruzach, a był tak blisko. Nie przewidział, że dzisiejsza akcja nie wypali. To kompletnie wytrąciło go z równowagi. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie miał w zanadrzu kolejnego zuchwałego planu, nowego pomysłu. Tylko czy po tym wszystkim uda mu się namówić Brenarda? Zauważył bowiem jakiś czas temu, że ten staje się coraz bardziej oporny i trudniej dogadują się z sobą. Stawał okoniem i nie dawał się ruszyć z miejsca.

„Tępy wieśniak! Świniopas!” — myślał sobie.

Właśnie tym był dla niego, nikim więcej. A jednak potrzebował go bardziej niż kiedykolwiek. Wiedział, że sam sobie nie poradzi i wiedział, że Brenard nigdy go nie zdradzi. Łączyło ich zbyt wiele, za dużo o sobie wiedzieli, jednoczyły niewygodne, mroczne tajemnice. Mógłby co prawda zmusić go szantażem, przymusić siłą do współpracy, tyle że wtedy straciłby partnera i stworzył sobie wroga. Tak postąpić nie mógł, on musiał przystać na to polubownie, poczuć, że to nie tylko Dogoberta sprawa, lecz także jego własna.

„Coś wykoncypuję<sup>119</sup>” — szarpał się z myślami i obserwował wchodzącego do strażnicy kapitana, nadal podminowany, acz pełen nadziei.

Już zamierzał opuścić stanowisko, kiedy kapitan nagle przystanął w progu drzwi i krzyknął do wychodzącego z grodu nieznanego:

— Skąd u diabła wiesz, jak się nazywam?!

Mężczyzna nie zareagował, nie zerknął nawet na niego, znikł bez słowa w czarnych czeluściach bramy, a oficer po chwili przepadł w kamiennej strażnicy.

Ostrożnie rozpatrzył się po dziedzińcu i odstał odrobinę dla pewności, nieśpiesznie podszedł do bramy i wyjrzał poza miasto, w ciemność. Noc jaśniała, gwiazdy wesoło migotały i świecił wielki księżyc w pełni, ale i tak niczego nie zobaczył. Zgadywał za to, że gdzieś tam w drodze do domu jest jego mała niebieskooka piękność. Ogarnął wzrokiem głębię nocy i pograżył się w myślach o dziewczynie, miał absolutną pewność, że niebawem znowu ją zobaczy.



Baszta, w której osadzono główną bramę grodu, górowała nad innymi. Widok z niej rozpościerał się na całe grodzisko i przygrodzie, okoliczną puszcę i odległe wzgórze oraz samotnie wyrastające w nieosłoniętych obszarach wiejskie chaty.

Po drewnianym pomoście spacerował czatownik<sup>120</sup>, czasem przystawał, wspierał się na sulicy, pochylał ku deskom i na stojąco drzemał. Tym razem nie chodził i nie spał. Pobudzony niecodziennym wypadkiem stał wsparty o blanki<sup>121</sup> i oglądał z wysokości widowisko rozgrywające się na dziedzińcu.

„A to ci heca!” — powtarzał niemo ubawiony widokiem spłoszonych wojów i nakręcał na palec pokaznego węża.

Nieco wyżej nad jego połyskującym hełmem, na podwyższonej stromiznie dachu siedział młody puszczyk. Kąkłymi oczami obserwował wnikliwie sceny mające miejsce przy bramie i wartowni. Śledził ruchy kapitana Wasala, Dogoberta i Brenarda, zatrzymywał wzrok na wystraszonej dziewczynce, a przede wszystkim obserwował wysokiego cudzoziemca zdającego się kiedy niekiedy<sup>122</sup> zerkać w jego stronę. Czas odmierzał kolejne minuty, ludzie wracali do domów, kapitan zniknął w masywnym budynku z kamienia, nieznajomy wyszedł poza miasto, a on zahukał po swojemu. Rozstawił szeroko skrzydła, dał nura z baszty i szybującym lotem pomknął nad głowami ostatnich ludzi opuszczających przygraniczne grodzisko.



Anna już nie biegła. Z wysiłku bolały ją nogi. Szczególnie stopy narażone na kontakt z ostrymi kamieniami miała podrapane i pokaleczone. Na dworze pociemniało, a na dodatek zrobiło się nieprzyjemnie chłodno. Niebo tysiącem gwiazd pomrugiwało, księżyc wypełniał żółtawym poblaskiem okolicę, pieścił promykami białą czuprynę dziewczynki i wskazywał jej drogę do domu.

Wioska, w której mieszkała, nosiła nazwę „Za Borem”, i leżała niedaleko miasta. Teraz kiedy lato było w pełni, powietrze przesiąknięte słońcem ciepłe a gościniec suchy, odległość nie stanowiła żadnego problemu. Znacznie gorzej robiło się wczesną wiosną lub jesienią, gdy nawierzchnia miękka i grząska, a zimą do cna zasypana najczęściej uniemożliwiała podróż do grodu i z grodu.

Szła nieśpieszonym, ale równym krokiem. Wsłuchana w odgłosy puszczańskich zwierząt, spadających gałęzi oraz pękających ze starości pni olbrzymich dębów, rozmyślała o wydarzeniach w mieście. Nie mogła pojąć, czego chciał od niej Dogobert, choć z całą pewnością nie chodziło o miedziaki, skoro wcześniej dawał jej pieniądze. Zdawało się to nielogiczne, pozbawione sensu, a do tego mocno podejrzanego. Całe szczęście, że do grodu zawitał ten obcy mężczyzna, obronił ją przed Dogobertem, a do tego obdarował dukatem. Pewnie był majętny, do tego bardzo hojny i odważny, lecz kim mógł być tak naprawdę. Wędrownym kupcem? To było wielce prawdopodobne, a jednak im dłużej dociekała, tym mniej przypominał jej kupca.

Drażył ją niepokój, nie dawał spokoju, coś nie pasowało w wyglądzie mężczyzny, toteż usiłowała sobie przypomnieć, odtworzyć w pamięci jego obraz i odnaleźć tę inność, jaką podświadomie w nim dostrzegła.

„Jest wysoki...” — rozważała: — „Wręcz ogromny i niewątpliwie bardzo, ale to bardzo silny...”.

Gdyby go spotkała w innym miejscu, w odmiennych okolicznościach, na pewno nagoniłby jej strachu, być może uciekłaby na jego widok. Ubrany był w tunikę z długimi rękawami zdobionymi srebrnymi lub złotymi nićmi, zapinaną od przodu rzędem kościanych guzików. Szerokie spodnie nieznacznie zwężone ku dołowi ginęły w wysokich butach o mięsistej podeszwie. Obuwie to przypominało wojackie, lecz w przeciwieństwie do niego nie miało metalowych okuć, za to było chodziwe<sup>123</sup> i doskonale zabezpieczało stopy. Na wierzch nałożony miał lekki płaszcz sięgający do kostek, z głębokim kapturem, wiązany sznurem, wygodnym i niekrepującym ruchów. W rozsuniętych połach płaszcz dostrzegła szeroki pas z ozdobną metalową klamrą, podwójnym rzędem otworów na dwie grube szpile, i prawdę mówiąc, nigdy takiego nie widziała.

Tymczasem kupcy tak się nie nosili. Wyglądał na wędrowca podróżującego po świecie albo najemnika chodzącego od grodu do grodu w poszukiwaniu miejsca w królewskiej drużynie. Tylko czy wtedy zechciałby jej pomóc? Podarował dukata i narażał swoje życie?

„Najmitą<sup>124</sup> on ci nie jest”. — Nie dawał jej spokoju jego wygląd.

Rozmyślając usilnie, po raz wtóry ważyła każdy szczegół, kiedy naraz stanęła jak wryta i wydukała:

— Kolor!

W jednej chwili uświadomiła sobie, że mężczyzna ubrany był na czarno<sup>125</sup>. Spłoszona rozejrzała się po okolicy. Czarnaawe cienie pod wpływem przepływającej chmury przed obliczem xiężyca zdawały się ożyć, wychodzić z lasu, wyciągać do niej szponiaste łapy, toteż wyrwała z miejsca biegiem i przypomniwała sobie...



Przypomniwała sobie, że kiedy była młodsza, pewnego razu matka wraz z niewiastami z wioski farbowały tkaniny na ubrania. Podglądała ich pracę, chodziła wśród drewnianych kadzi i ciekawie zerkała im na ręce. Wtedy to jedna z farbiarek ze śmiesznie zadartym nosem, zobaczywszy, że ją obserwuje, zagadnęła:

— Może i twoją sukieneczkę umalujemy, Hanuś<sup>126</sup>?

W odpowiedzi pokiwała twierdząco głową.

Niewiasty roześmiały się na widok uradowanej buzi drobniutkiej blondyneczki, a kobieta zapytała zabawnym dyszkantem<sup>127</sup>:

— A w jakim to kolorze chciałoby mieć suknię słodkie dziewczę?

— W czarnym — oznajmiła z anielskim uśmiechem, błyskając szafirowymi oczami.

W izbie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Spłoszone strachem niewiasty jęły zerkać po sobie, spozierać bojaźliwie po świetlicy<sup>128</sup>, kreślić znak krzyża w powietrzu i coś naszeptywać, a może nawet odmawiać modlitwy.

— Ależ Hanuś... — wtrąciła matka, nie zwracając uwagi na wystraszone niewiasty: — Nie mamy barwnika, którenby<sup>129</sup> malował materię na czarno.

— To kolor Złego! Diabła! Jeno Zły i słudzy jego tak się noszą — dodała jakaś stara, wysuszona niewiasta, podsunęła do niej bliżej bladaawe oblicze i łypnęła na nią ziemistymi ślipiami.

Wszystkie jak na komendę ozęgały<sup>130</sup> cztery kąty, jęły popatrywać dookoła i wyglądać za okno, jak gdyby wypatrywały coś przerażającego. Samego diabła, Złego w ludzkiej skórze lub inne jakie lichy ukryte w kamieniach, w ziemi, w krzewach a może i na drzewach.

— To kolor Złego... — powtarzały szeptem złęknione niewiasty.

— Nie łącno<sup>131</sup> zrobić taką farbę! Nie łącno! Trza świeżej krwi nieskalanego dziecka... — ciągnęła staruszka, przyciągając wzrok zniesmaczonej jej słowami matki: — Ubitego o północy przy miesiącu w pełni, a wprzód<sup>132</sup> nabytego za jednego złocistego dukata...



O, mamol — krzyknęła i gwałtownie przyspieszyła.

Nie spodobało jej się to wspomnienie z dzieciństwa. Spojrzała lękliwie na xiężyc w pełni, ścisnęła bezwiednie sakiewkę i wśród kilku mniejszych monet wyczuła złotego dukata.

„Anuż to prawda?” — pomyślała i z przerażeniem zerknęła za siebie. — „A jeśli to jego sługa albo Zły przybrały ludzką postać? Anuż to płata za me życie? Za mą niewinną duszę, a jam durna ją przyjęła. Co teraz ze mną będzie?”.

Biegła jak szalona, kompletnie zapominając o zmęczeniu, pragnęła jak najszybciej dotrzeć do domu. Próbowwała myśleć trzeźwo i rozsądnie, ale bojaźń silniejsza była od rozsądku, a wyobrażenia tworzyła w głowie niepokojące obrazy. Na szczęście w oddali dostrzegła pierwsze chaty, docleciały ją poszczekiwanie psów i głos Burego. To dodało jej odwagi. Biegiem minęła pierwszy, drugi i trzeci dom, a kiedy pędem wpadła na podwórze czwartego gospodarstwa, o mały włos a wywróciłaby się o stojące przy wejściu wiadro z wodą.

— A któż u wnijścia<sup>133</sup> to ostawił? — zdziwiła się, wyhamowując.

Zzajana i spocona nie mogła tak wejść do domu. Nie chciała, aby mama oglądała ją w tym stanie. Była w strachu, że gdyby ją ujrzała, wzięłaby na spytki, i rad nierad musiałyby wyznać całą prawdę.

Podeszła do wiadra, ukłękła przed nim, zanurzyła ręce i kilkakrotnie obmyła twarz lodowatą wodą. W okrągłej tafli pofalowanej wody odbijał się kolisty xiężyc w pełni, wypełniając sobą całe wnętrze. Drgnęła i poczuła przenikające zimno, sztywniejące członki i podniesione ze strachu włosy. Wyciągnęła sakiewkę, rozsypała cienki rzemień i wydobyła z niej dukata, położyła na dłoni i zapatrzyła się w mieniący złoty krążek.

Był ciężki, cudnie błyszczał w świetle xiężycza, znajdował się na nim wizerunek kruka z niezrozumiałym dla niej napisem. Obróciła nim kilka razy, poważyła w rękę i włożyła do wiadra w centralnym jego miejscu. Leżał na dnie porzewiałego naczynia, przepięknie błyszczał i diabelsko kusił, żeby go ze sobą zabrać. „Jutro pomyślę, co z nim zrobić”.



Poprawiła roztarganą czuprynę, strzepnęła piach z kolan i ruszyła wolno do chaty. Ostrożnie wśliznęła się do środka, cichutko zakradła do izby i z bojaźnią rozejrzała po wnętrzu.

W pokoju panował półmrok, tylko jedna krzywa świeca rozświetlała ciemność. Przy drewnianym stole z nierównych sękatych desek siedziała matka, a na stole stała misa wypełniona pierogami z kapustą i grochem, wyciosana z lipowego drewna i zdobiona ręką ludowego artysty.

— Nie bojaj się, Hanuś. Ociec śpi opity<sup>134</sup> w stodole.

Anna rozpromieniała, podbiegła w podskokach do matki, przytuliła i pocałowała w policzek.

— Hej! — przywitała się po swojemu.

Zawsze, gdy witała się z ludźmi spoza wioski, robili wielkie oczy; nie było to zgodne z obyczajem i tradycją, raziło starych, śmieszyło młodych, lecz ona nie zwracała na to uwagi. Sąsiedzi przyzwyczajeni do Anny odpowiadali na jej sposób lub odczyniali uroki, spluwali na ziemię, okręcali się wokół własnej osi i mówili:

— Diabli ci na jęzor wleźli.

— A gdzie by tam? — odpowiadała beztrosko i chichocząc głośno, pokazywała język.

— Ty nie bądź taka umna<sup>135</sup>! Za zębami ony siedzą. . .

— A gdzie by tam? — Szczyrzyła zęby i jeszcze donośniej chichotała, trochę prześmiewczo, lecz nie złośliwie.

Cóż, nie było na nią siły. Uśmiech jej zniewalał, kocie spojrzenie rozbijało, a cienki chichot rozweselał najtwardsze nawet serca.

— Stało się co, ize po zamierzku<sup>136</sup> do dom wracasz? — zapytała matka niespokojnym głosem.

— No, wiesz. . . — Wstrzymała na krótko oddech: — Po prawdzie nic takiego, ino u brony<sup>137</sup> tłok był wielgi. Człeka z ubitym koziołkiem<sup>138</sup> chycili. — Kłamała.

— Jezusie Nazareński! Toż onemu na mur łapę utracą aboc do krwi usmagają<sup>139</sup> i do ciemnicy wtrąca!

— Ja. . . — Zakasłała i spróbowała coś wymyślić: — Ja. . . — Zacięła się zdenerwowana, widząc wpatrzoną w siebie matkę.

— Co ty?

— Ja nie wiem — wyrzuciła naprędce, wpatrywała się w okno i próbowała zatuszować zmieszanie: — Dalekom wonczas<sup>140</sup> była tom nie-dużo widziała.

Czuła napływającą krew do policzków, zrobiło jej się głupio. Przecież nie chciała cyganić matki, tyle że nie mogła powiedzieć też prawdy.

Podeszła do cebra z bukowych klepek, umyła naprędce ręce i buzię, siadła za stołem i zabrała się do jedzenia pierogów. Znikały błyskawicznie, łakomie połykane z prawdziwie wilczym apetytem.



Matka, choć dostrzegła zakłopotanie córki, nie dopytywała o nic więcej, w ciszy się przyglądała, popadając w głębokie zamyślenie.

„Moja umiłowana dziewczuszka”.



Patrzyła ze smutkiem na jej podrapane od leśnych krzewów ręce. Na pokaleczone od ostrych kamieni drobne stopy. Na pocerowaną koszulę z wypłowiałym dawno kolorem i sukienkę, z której już prawie wyrosła. Pragnęła całą duszą, aby jej los się odmienił, zła dola odwróciła od niej swe zagniewane oblicze i nie musiała dłużej dzielić z nią tej biedy. Była przecież taka ładna, a do tego niezwykle delikatna. Zupełnie nie pasowała do tego surowego miejsca. Nie tylko wyglądem do nich nie pasowała, lecz także charakterem znacznie się od nich różniła. Jakby nie była ich upragnioną córką, jedynym i długo wyczekiwanyim dzieckiem. A przecież miłowała ich całym sercem, pomimo że Wiktor, jej ojciec, pod wpływem alkoholu wpadał w szal z byle jakiego powodu i strasznie bił ją wtedy. Lecz cóż ona biedna mogła począć? Jak temu zaradzić? Ona, słabowita białka<sup>141</sup> przeciwko silnemu mężczyźnie, swemu mężowi i panu mającemu prawo łąć je obie, kiedy będzie miał ochotę.

Nikomu nie mogła się wyzalić, nikogo prosić o pomoc, musiała radzić sobie sama i z podniesionym wysoko czołem znosić przeciwności losu. Nie raz, nie dwa zamierzała uciec z Anną. Tylko dokąd, kiedy nie miały gdzie się schronić. Gdzie podziałyby się, kto przygarnąłby ją z dzieckiem i kto ulżyłby w niedoli? Łzy napłynęły do matczynych udęczonej oczu, pociągnęła nosem rozzalona, wyciągnęła chustkę zza rękawa i głośno się w nią wysmarkała.

— Sprzedałaś co? — Głos jej się załamał, z oka łza pocięła.

— Krztynę — odpowiedziała, wyjęła sakiewkę i położyła przed matką.

Anna wstała, zbliżyła się do świeżo wylepionego gliną pieca, uląła gorącej wody z kociołka do wyszczerbionego kubka, włożyła kilka miętowych liści i zabełtała drewnianą łyżką wystruganą przez ojca. Wróciła do stołu, postawiła kubek przed sobą i czekając w milczeniu, aż ziele dojdzie, popatrzyła na zasmuconą matkę.



Dorozumiewała<sup>142</sup> się, o kim teraz myśli. Kontemplowała o niej. Przeżywała każde z nią rozstanie, a gdy nie wracała w porę do domu, zamartwiała się i nie umiała spokojnie usiedzieć w miejscu. Z dnia na dzień broniała ją przed pijanym i nierzadko agresywnym ojcem, cierpliwie znosiła jego obelgi, złośliwe uwagi, i przyjmowała na siebie razy.

„Dziś zapewne było tako samo”. — Posmutniała i zerknęła na sine ślady na ramionach matki.

Od rana do wieczora harowała w pocie czoła na swoim i zajmując się u obcych. Stawała na głowie, żeby utrzymać gospodarstwo, i niewiele miała czasu na spoczynek. Rankiem, kiedy ona smacznie spała, zrywała się, przygotowywała pyszną strawę, budziła ją i przytulała, aż w końcu z bólem serca odprawiała do oddalonego o kilka staj<sup>143</sup> grodu. Nie była wcale starą niewiastą, choć życie dodało jej kilku lat na ciele.

Anna wstała zza stołu, podeszła do zadumanej matki, usiadła jej na kolanach i z czułością kochającej córki mocno przytuliła.

— Nie sumujcie się<sup>144</sup>, matuś. Wszystek będzie dobrze. Obaczycie. . .  
— wyszeptała jej do ucha, zakrywając rękawem koszuli wielkiego siniaka.

W izbie było ciepło i przytulnie. Ogień w piecu wesoło buchał, podskakując po grubych klocach. Za oknem cierkały miłosną pieśń maleńkie świerszcze, a one w czułych objęciach, weseliły się swą bliskością, cieszyły niezmiernie tą jakże krótką i ulotną chwilą.

— Pora na kąpiel — rzekła matka.

Podniosła się delikatnie i tym sposobem zmusiła Annę do zrobienia tego samego, zdjęła z pieca gar z wrzątkiem, przelała do płytkiej bali, po czym dopełniła odrobiną zimnej wody.

— Wskakuj! Przysposobie spanie.

Anna błyskawicznie ściągnęła ubranie, ostrożnie stanęła w bali i usiadła. Lubiła posiedzieć sobie w wodzie, podumać o różnych ważnych i błahych sprawach, aczkolwiek dziś nie mogła na to sobie pozwolić.

„Byłoby źle, gdyby mamcia obaczyła tegoż wielgiego siniaka”.

Zmyła bród i pot mydlnicą<sup>145</sup>, na chybcika się wytarła, i zanim matka zdążyła przygotować łóżko do spania, już wskakiwała w lnianą koszulę. W pamięci jednak miała sylwetkę nieznanego mężczyzny, który oprócz tego, że jej dopomógł, wzbudzał w niej niepokój.

„Kimże jesteś nieznanomy? Zali powinnam się cię obawiać?” — w kółko zadawała sobie te same pytania.



**B**ył już niedaleko wyjścia z grodu, Północnej Bramy, kiedy doleciały go gromkie słowa kapitana Wasala:

— Skąd u diabła wiesz, jak się nazywam?!

Nie zareagował, nie czuł potrzeby cokolwiek mu wyjaśniać. Wyszedł śpiesznie poza mury grodu, minął na zewnątrz pełniącego wartę strażnika

łypiącego na niego ciekawskim wzrokiem i ruszył śladem dziewczyny. Nie musiał się śpieszyć. Trop był wyraźny i świeży, dobrze wiedział, że odnajdzie ją bez trudu. Wyczuwał jej zapach unoszony miliardem cząsteczek powietrza. Odczuwał ciałem częstotliwość bicia jej dziecięcego serca. Widział wyraźny alabastrowy ślad pozostawiony przez jej drobne ciało i odbierał w głowie ten niepowtarzalny, ultrawysoki dźwięk złotego dukata, ocierającego się o miedziaki na dnie skórzanej sakiewki. Wszystko to sprawiało, że była łatwą zdobyczą i nie mogła mu uciec, skryć się przed nim, a już na pewno zatrzeć za sobą ślady.



Panie, ratujże! Panie! — wołała niewiasta, podskakiwała nad wysoką trzcina i wymachiwała rękoma.

Zobaczył ją i stanął.

„Czegóż ona ode mnie chce?” — pomyślał z niechęcią, zamierzając czym prędzej odejść.

Niewiasta pognała ku niemu, na twarzy miała rozpacz, łzy ciekły po śniadych policzkach, wargi drżały ze strachu.

— Panie! Panie!

Padła mu pod nogi i ciężko oddychając, błagalnym głosem zmieszonym z płaczem niewyraźnie powiedziała:

— Panie, ratujże moje dziecię! Ono... Ono... Samojedno<sup>146</sup>... a tamok odynieć wielgi by góra... Panie...!

— Uspokój się niewiasto i gadaj do rzeczy. Co się stało? — Zsunął kaptur, było parno, oddychało się z trudnością.

Niewiasta przetarła twarz szerokim rękawem sukni, chrząknęła kilka razy, wstała z ziemi, a kiedy spojrzała w jego oblicze, krzyknęła i odskooczyła, zachwiała się i jak porażona przewaliła.

— Matko Boska... Djaszek<sup>147</sup>!

Złęknona cofała się z odwróconym od niego wzrokiem. Zatrzymała się po chwili i rozplakała.

Popatrzył na nią z wysoka, splunął z pogardą i ruszył dalej.

— Panie! — zawołała i znów padła mu pod stopy.

— Czego chcesz?

— Ratujcie mi syna — wyskomlała, klęknięta przed nim i złożyła ręce jak do modlitwy.

— Diabła prosisz o pomoc? — zapytał dźwięcznym basem.

— Iżbym duszę miała sprzedać, ratujcież go, proszę. Jeden mi jeno ostał... — Powtórnie ryknęła płaczem.

— Duszę powiadasz? To gdzie on?

— Tamok! — Pokazała gęsty bór oddalony o dobry rzut kamieniem: — Odyniec zagnał go tamok i przepadł by kamień w wodę. Szukała ja, szukała, wołała i wołała, ale nikaj go nie ma... A on jeden... Samiusieńki... A tamok odyńce a wilcy... a niedźwiedzie!

Jęczała, gdy on popatrywał w stronę kniei. W smugach złocistego słońca rozplýwała się jasna nitka po chłopcu i druga znacznie ciemniejsza należąca do dzikiego zwierza.

— Ostań i czekaj. Ino się stąd nie ruszaj, a o zapłacie... Pogaworzimy, jak wrócę. — Zachichotał, głucho, okrutnie, przerażająco.



Uśmiechnął się na wspomnienie tamtego wydarzenia, oblizał spierzchnięte usta i poprawił spadające z ramienia wory. Znalazł tamtego dzieciaka całego i zdrowego. Siedział roztrzęsiony ze strachu na wysokim drzewie, zgrzany ucieczką przed odyńcem, z łzami świeącymi na policzkach. Kiedy chłopak go ujrzał, mało z niego nie spadł, zamknął oczy i wrzeszczał, gdy go siłą ściągał, a później... Cóż, odebrał zapłatę za chłopca...

Szedł długim równym krokiem. Po drodze wyprzedził ostatnich kupców wyjeżdżających z grodu. Szło się trudno. Z piaszczystej drogi wystawały poskręcane korzenie potężnych drzew rosnących po obu jej stronach. Drzew stanowiących pierwszą linię w ciągnących się na obszarze wielu setek kilometrów gęstych lasów i borów, przerywanych z rzadka niedużą osadą lub przylegającym do nich grodem. Okoliczne lasy znane były ze swojej naturalnej dzikości. Niewiele dróg przez nie przebiegało i wydeptanych ludzkimi stopami ścieżek. Gęsto porośnięte, trudno dostępne i z licznymi mokradłami obfitowały w łowną zwierzynę, niezliczoną ilość grzybów i leśnych owoców.

Lasy, bory i puszcze należały do królestwa, a zatem króla, i opiekę nad nimi sprawowały wyznaczone przez monarchę grody. Chodzenie do lasów i zbieractwo nie było zabronione, lecz łowy na grubego zwierza wymagały pozwolenia i stosownej opłaty od każdej upolowanej sztuki. Z grodów wysyłano więc patrole drużynników mających na celu wyłapywanie kłusowników, którym groziły niemałe kary, włącznie z karą śmierci w wyjątkowych przypadkach. Wybierano dwudziestu wojów

o najgorszej reputacji, najbardziej niesfornych w drużynie, i wysyłano na trwającą niecałe cztery miesiące wyprawę. Nazywano ją karną kompanią, gdyż każdy bez wyjątku, kto do niej trafiał, miał na sumieniu jakiś mniejszy lub większy występki.

Poruszał się dość prędko, zwinnie omijał wszystkie napotkane przeszkody. Był w tym doskonale zaprawiony i nawet ciemność nie stanowiła dlań problemu. Nagle przystanął i znieruchomiał, powietrze zgęstniało. Wypełnione negatywnymi fluidami przywierało do niego niczym metalowe opiłki do magnesu. Popatrzył w stronę grodu. Niewiele mógł zobaczyć z tak daleka, a jednak w srebrzystej poświacie xiężyca dostrzegł zarys małej postaci stojącej u wrót bramy. Rozłożył ręce, jak gdyby chciał objąć coś wielkiego, i z całą mocą wszystkich zmysłów wchłaniał napływające w swoją stronę myśli. Myśli należące do wpatrującego się w mrok Dogoberta.

— Uhuuu... Uhuhuuuu... — zahukał gdzieś w gałęziach sosny puszczyk, poderwał się do lotu, zakołował wysoko nad mężczyzną i poleciał ku wiejskiej osadzie.



Niedaleko mężczyzny w cieniu niskiego drzewa stał ubrany w jasną tunikę chłopczyk. Oparty o pień grubego dębu, trzymał białego zajączka i śledził wzrokiem zakapturzonego wędrowca. Do jego nóg łasiły się trzy młode borsuki, a na ramieniu siedziała ruda wiewiórka, zadzierała kitę nad głowę i popiskiwała chłopcu do ucha.

— Tak, tak... — wyszeptał chłopiec do rudego zwierza: — Masz rację, mój mały przyjacielu.

Zdjął z ramienia wiewiórkę i posadził na gałęzi rosnącego nieopodal krzewu, pogłaskał trzy uradowane borsuki, pomachał odlatującemu puszczykowi i z zajączkiem znikł w gęstwinie lasu.



**B**renard obserwował sterczącego w bramie Dogoberta. Nie mógł sobie wybaczyć, że dał się w to wciągnąć. To już nie są żarty i kapitan nie kłamał, mówiąc, że musi sam sobie radzić i że nie będzie dłużej go chronił. Co będzie, jeśli wyleją go z drużyny? Przecież nie mógł tak po prostu wrócić na wieś. To byłaby hańba, wstyd, ogromna kompromitacja. Przed starym ojcem, matką i całą wioską. Brał udział w wielu bitwach, był

bohaterem, wielokrotnie rannym i odznaczanym za odwagę. Jego blizny na twarzy i ciele świadczyły same za siebie, dawały namacalny dowód wydarzeń mających kiedyś miejsce. Z wieśniaka, z syna prostego kmiecia stał się rycerzem i rozpierała go duma. Nie tylko, kiedy odwiedzał rodzinną wioskę, ale również wtedy, gdy przypominał sobie, ile włożył w to wysiłku i pracy. W drużynie miał stałą pensję, wikt i opierunek, i było mu tu dobrze. Drużynę miłował więcej niż rodzinę i nie chciał tego tak po prostu stracić, nie potrafiłby odnaleźć się gdzie indziej.

Usiadł na solidnej drzewianej<sup>148</sup> ławce, wydobyl ciężki miecz i nie zaprzestając rozmyślać, położył obok siebie. Wszystko się popsulo, od kąd zaczął grać w kości i nawiązał bliższe stosunki z ludźmi pokroju Dogoberta. Wpadał w coraz to większe długi, zaczął pić, nie bacząc na reputację, honor i dobre imię. Miał wieloletnią służbę za sobą, dostąpił stopnia kaprała, a dawał sobą manipulować mniejszym rangą i niższego stanu wojom. W oczach dowódcy, kapitana Edwarda Wasala, stracił bardzo wiele. A przecież tak dużo mu zawdzięczał. Kiedy był dzieckiem, ten przygarnął go pod swoje skrzydła i zaopiekował się niemal jak rodzonym synem. Szanował kapitana, obdarzył prawie synowską miłością i darzył wielkim zaufaniem.



Twój otrok<sup>149</sup>? — zapytał kapitan bijącego czołem o ziemię kmiecia.

Siedział na siwej klaczy, spoglądał na przelęknionego chłopca i wskazywał połączanym kijem z królewskim znakiem na rosnącego chłopca.

— Ano mój, panie.

— Rosłe z niego chłopisko.

— Ano, rosłe. Chwalić Boga... Nabite<sup>150</sup> toto i bystre. W polu za trzech robi, a sulicą ciska by prawy woj, panie.

— Sulicą? A skądże u was taka broń doma<sup>151</sup>? Czyżbyście mieli jakiego wojaka w rodzie?

— Ii... My są zwykli kmiecie, aleć grododzierzca<sup>152</sup> kazali słać młodzików do grodu, to i ślemy. Tamże się szkoła.

Kapitan zeskoczył z konia, wyciągnął sulicę uczeptioną do siodła, podszedł do chłopaka dorównującego mu wzrostem i wcisnął broń w dłonie.

— Pokaż, co potrafisz.

Chłopak poczerwieniał, obrzucił woja bystrym spojrzeniem i zapytał:

— Wecz<sup>153</sup> mam trafić?

Rozejrzeli się, stali w polu. Po jednej stronie widniały chaty wioski, po drugiej rosła kępa tarni i kilka niedużych drzewek.

— Tamoj! — Wskazał kijem kapitan zbite drzewa, odległość nie była zbyt wielka dla rosnącego woja, lecz dla młodzieńca stanowczo za duża: — Podejdźmy bliżej.

— A po cóż to? Dociepnę<sup>154</sup>, panie.

— Dociepniesz? — zdziwił się kapitan z pogardliwym uśmiechem: — A trafisz, chociaż w to spaszę drzewo?

— A trafię! — odpowiedział ufnie chłopak: — Trafię i w to podle<sup>155</sup> niego. Cienkie by tyka.

Kapitan podszedł bez słowa do konia, wydobyl z sakwy nóż w skórzanej pochwie i pokazał chłopakowi.

— Trafisz, jest twój.

Chłopak błysnął ślipiami i otworzył usta na widok pierwszorzędnie wykonanego noża. Nagroda była niezwykle cenna, nóż był myśliwski, głównię<sup>156</sup> miał wypolerowaną na wysoki połysk, jelec<sup>157</sup> solidny i grawerowany wykuto w brązie, a trzon kunsztownie wyrzezano w jelenim rogu. Kosztował majątek. Wiele lat z rzędu musiałyby pracować, żeby takie cudo nabyć, a teraz... Teraz miał w swym zasięgu, wystarczyło tylko trafić w to smukłe drzewo, nazbyt śpiesznie wskazane kapitanowi.

„Jeno trafić...” — szeptały jego usta niesłyszalnie.

Serce z podniecenia załomotało mu szybciej, ramiona zeszywniały nagle z nerwów, a sulica, pomimo że nie przybrała ani grama na masie, zaczęła ciężuć i ciągnąć ku ziemi.

„Jeno trafić...” — powtarzał w myślach, starł krople potu z czoła, popatrzył spłoszonym wzrokiem na ojca, i przemknął oczami po rycerzu, na którego twarzą dostrzegł ironiczny uśmiech.

Kapitan nie wierzył, że trafi. Przyglądał się z ciekawością temu chłopcu, podziwiał go za odwagę i determinację, a zarazem w duchu drwił z niego. Nie jedno widział, nie jednego młodzieńca wystawił na próbę i niejedną porażkę oglądał w życiu.

Z niedaleka podpatrywał ojciec. Nie wtrącał się, ale tak jak kapitan nie wierzył, że chłopak temu podoła, odległość była znaczna, sulica ciężka, a drzewo bardzo cienkie.

— Zaczynaj! — rozkazał kapitan.

Chłopak przyjął pozycję do rzutu, ojciec zaś wstrzymał oddech.

„Jeno trafić...”.

Ścisnął pewniej drzewce<sup>158</sup>, odchylił w tył rękę, zrobił potężny zamach i robiąc wykrok, cisnął z całej siły.

Sulica pomknęła wyrzucona silnie i poszybowała w górę, w połowie drogi obniżyła lot ku ziemi i stalowym ostrzem skierowała się ku drzewom.

Dzień był bezwietrzny, pogoda wiosenna, na polu stało kilku kmieci obserwujących rzucającego sulicą chłopaka, daleko po podmokłej łące brodziły dwa bociany.

Sulica leciała bezgłośnie, chłopak znieruchomiał z wrażenia, ojciec ciągle wstrzymywał oddech, kapitan mrużył silnie oczy.

— Bach! — stuknął grot w drzewo, a drzewce się zakolysało.

Stali we trójkę w bezruchu. Oficer spoważniał, lekceważący uśmiech zniknął z jego oblicza, ojciec odetchnął głęboko, a chłopak...

— Aaa...! — jęknął i złapał się za głowę.

Sulica drgała wbita ostrzem w drzewo, tyle że nie w tym, które było jego celem.

Kapitan wrócił do konia, wskoczył na niego i rzekł do chłopaka:

— Jak cię zowią?

— Brenard, panie. — Oczy miał mokre, na buzi zawstydylenie.

— Biegaj po sulice, a nuże! A ty... — skierował słowa do ojca, kiedy chłopak pognał: — Mnie go oddasz pod opiekę...

— Ależ, panie! Onże tutki potrzebny, doma. Jakże to tak? My stare. Ledwoć radę se dajem... A co dopiro będzie, jak jego ubędzie?

— Klnę się na Boga, iż ważnym wojem go zrobię! Wieszli durniu, co to dla cię znaczy?

— Wiem, panie... Wiem... — skłonił się w pokorze i popatrzył na biegnącego z sulicą syna.

Głowę miał spuszczoną, ocierał twarz rękawem brudnego giezła i próbował taić wstyd i hańbę. Podał sulicę kapitanowi i posłyszał słowa, których miał już nigdy nie zapomnieć:

— Nie łągał ociec, kiej gadał, żeś silny i ciskas sulicą, jak prawy oszczepnik. Ślepa masz iście jastrzębie, ramię niedźwiedzia a giczoły gięt-kie by u rysia. Weź go... — Wręczył nóż chłopakowi: — Uchybiłeś celu, aleś zasłużył. A jutrze<sup>159</sup> w służbę do mię przyjdiesz... Ino bacz no,



izbyś mi się wraz ze słońcem u grodzierzcy stawił. A zapóźnisz<sup>160</sup> się ociupinę, to kijami do krwi każę wybatożyć! Pojmujesz?

— Tak, panie! — zapiszczał z radości cieniuchno i w podzięcie jął całować nogę kapitana. — Ni krzty się nie zapóźnię i nie pożałujecie tegoż, panie... — głos mu się łamał, łzy do oczu ze szczęścia cisnęły.



Tak, pamiętał wyśmienicie słowa kapitana, a potem... Szybko zrobił z niego żołnierza. Służba u kapitana Wasala była ciężka i wyczerpująca, czasu dla siebie miał niewiele, bo od świtania aż do nocy usługiwał wojom. Chodził za nimi, nosił broń, czyścił i naprawiał. Usługiwał przy jadłach, targał cebry z wodą, prał niczym praczka, i spał z doskoku z otwartymi oczami, gotów w każdej chwili do dalszej posługi. Z czasem począł trenować, ćwiczyć sztuki walki, jazdę konno, i poznawał wyszukane tajniki zabijania. Kapitan zabierał go ze sobą, ciągnął na każdą akcję, a że graniczne wioski najeżdżały obce wojska i napadali najzwyklejsi rozbójnicy, roboty mieli co niemiara. To właśnie tam, na bitewnych polach, zrobił z niego wojownika, znakomitego woja, z którego kiedyś był tak dumny, a przynajmniej tak mu się zdawało.



Zajdź go z drugiej strony, Brenardzie! — wołał do niego wielki niczym słoń mężczyzna, o posiwiałej z wiekiem brodzie.

Rycerz siedział pochylony, jedną rękę wspierał na sulicy, drugą przytykał do głębokiej rany. Wokół dogasała walka ze ściganymi zbójcami, dopadali ich i bezlitośnie dobijali.

Posłuchał się starszego towarzysza, doskoczył do długowąsęgo przeciwnika i trzymając w jednym ręku miecz a w drugiej krągłą tarczę, naparł na niego.

— Brzdęk! Brzdęk! — Grzmocił w niedużą tarczę topór rozsierdzonego rozbójnika, jednak Brenard skutecznie odpierał jego ciosy.

— Brzdęk! — Kolejne uderzenie spadło na drewnianą płytę wzmocnioną stalowymi okuciami.

Cios był tak potężny, iż tarcza pękła w połowie, ostrze topora pomknęło ku twarzy chłopaka i rozerwało mu policzek.

Krew chlusnęła na usta Brenarda, z bólu zacisnął zęby, a mimo to wykorzystał nadarżającą okazję. Ruszył śmiało na tracącego równowagę

napastnika i zadał mu mieczem śmiertelne cięcie w głowę. Uderzenie rozczepiło czerep zbójcy, wypuścił zboczony topór i padł jak długi na zmieszaną z posoką ziemię.

— Doskonale, Brenardzie! — wychwalał go po bitwie kapitan Wasal, doglądając zszutą przez medyka ranę. — A tymże się nie zajmuj. Woj bez szram na ciele by starucha z wiankiem<sup>161</sup>!

— Cha, cha! — śmieli się woje z drużyny, chichotał kapitan, podrygiwał ze śmiechu szczęśliwy od pochwał młody Brenard.



Takie to chwile też wspominał chętnie. Chwalili go wtenczas towarzysze za męstwo, podziwiali za odwagę, zazdrościli mu siły i pięcia się coraz wyżej w drużynie. No, ale tak było kiedyś...

„To musi się skończyć!” — krzyknął w myślach. — „Muszę wyjść z długów. Przestać pić i wziąć się za siebie. Zerwać więzi z Dogobertem i odzyskać utracony szacunek wśród oficerów<sup>162</sup>, kompanów i grodzian. Nadal nic straconego...”

Pogłaskał z czułością miecz otrzymany w dniu wstąpienia do służby, który niejednego wroga pozabawił życia. Tylko skąd miałby zdobyć tyle pieniędzy na spłacenie długów? To nie była taka mała kwota. Uzbierało się bez mała trzydzieści dukatów, to był prawdziwy majątek. Wierzyście nie będą cierpliwie czekać na pieniądze, dopadną go gdzieś w ciemnym zaułku i zabiją, jeśli prędko czegoś nie wymyśli.

Kątem oka dojrzał podchodzącego Dogoberta. Przysiadł bez słowa na tej samej co on ławce. Zdawał się nieprzytomny, głęboko zamyślony, zagubiony w labiryncie własnego umysłu.



Ulice miasta opustoszały, drewniana krata opadła i brama została zamknięta. Z pobliskiej gospody dochodziły gwarne śmiechy rozhulanych po służbie wojów, w świetle zaś przyulicznych pochodni, na sosnowej ławce siedziało dwóch przygnębionych wartowników oddalonych od siebie długością miecza. Głowy mieli pospuszczane, przeciążone markotnymi myślami, oblicza smutne i zatroskane, oczy nieobecne, rozmyte i rozmarzone.

— Ten człek musi być wielce majątny. — Po półgodzinnym milczeniu Dogobert zagał pierwszy.

Brenard jakby tego nie słyszał, wzdychnął ciężko i wydał z niesmakiem wargi. Wpatrywał się w dopalającą na murze pochodnię; strzelała w górę nierównym płomieniem i gibała się na wietrze. Nie miał ochoty z nim rozmawiać. Nie chciał mieć z nim do czynienia i najchętniej by sobie stąd poszedł.

— Pokrylibyśmy długi<sup>163</sup> — mówił niezrażony tym samym tonem: — Widziałeś, dał dziewce dukata. Wiele ma ich jeszcze? — Próbował go zaciekawić.

I tym razem nie zareagował, a jednak naraz uświadomił sobie, że być może Dogobert w tym jednym ma rację. Mógłby oddać pożyczone pieniądze i zacząć żyć od nowa. Czy nie tego właśnie pragnął? Może to była ta chwila. Może nadarzała się okazja i niewykluczone, że to ostatni dzwonek, żeby wydzwignąć się z dołka, pochwycić los we własne ręce i zacząć wszystko od nowa.

— Ten człek jest groźny. Nie zdołałeś<sup>164</sup> mu. Wielgi onże i silny bytur, a któż wie, zali jakoweś broni nie skrywa w zanadru — przemówił po długim milczeniu wrogo i niechętnie.

— Brednie! — prychnął oburzony Dogobert.

Zerwał się z ławki i potracił miecz Brenarda, który z metalicznym brzękiem upadł mu pod nogi.

— Z niebaczka<sup>165</sup> mię wziął! Ręce chylił, zaklinił<sup>166</sup>! I tyle... — wycedził w złości przez zęby.

Podniósł broń, położył z powrotem na ławie, odszedł kilka kroków dalej i odwrócony do niego plecami powiedział:

— Pomyśl no, Brenardzie. Podumaj dobrze. Dwok<sup>167</sup> nas, onże sam i nic a nic się nie spodziewa.

Widział, że tamten stoi nieruchomo i wyczekuje, tymczasem on trzymając język za zębami, rozważał zasłyszane słowa. Był świadom, że to wielce ryzykowne. Nie czuł strachu do nieznanego, ale przeczuwał, że to niebawem groźny przeciwnik. O głowę gotów był się założyć, taką miał pewność, że obcy nie jest wędrownym kupcem, zwyczajnym handlarzem czy najemnym rzemieślnikiem. Tacy ludzie nie narażają życia dla innych, a tym bardziej który kupiec ryzykowałby dla dziecka wieśniaka. Nie, oni mają za dużo do stracenia. Mógł przecież zginąć i dać im dobry powód, by wymierzyć mu pięćdziesiąt kijów i zamknąć w ciemnym lochu przynajmniej na pół roku za atak na strażnika grodu. A mimo to stanął

w jej obronie. Albo istotnie był tak odważny, że gotów był postawić na szali własne życie, albo niedorozwinięty.

Ubrany w diabelską czerń z ukrytą twarzą pod głębokim kapturem z całą pewnością nie życzył sobie, by go rozpoznano. Może jest uciekinierem? Może drobnym rzezimieszkim lub podróznym złodziejem? A może okrutnym zbrodniarzem poszukiwanym przez prawo? Któż to teraz może wiedzieć? Jednego zaś był absolutnie pewien, nie mógł go lekceważyć. Skoro jednak tak szczerze obdarował dziewczynę, bez wątpienia był bogaty i takich dukatów ma więcej. I jeszcze w jednym Dogobert ma całkowitą rację:

„Mamy nad nim przewagę. Jest nią zaskoczenie”.



Kiedy to pomyślał, poczuł chłodny dreszcz na ciele. Przez krótką chwilę zrobiło się strasznie zimno, jak gdyby w środku lata niespodziewanie nadeszła zima, a doświadcająca<sup>168</sup> się na murze pochodnia momentalnie zgasła. Wzdrygnął się bezwiednie i zapatrzył w czarny kikut żagwi.



**L**as wzdłuż drogi tworzył gęstą ścianę, spowity nocną czernią sprawiał wrażenie otaczającego ją muru. Z jego głębi wybrzmiewały przedziwne odgłosy nocnych zwierząt, a od strony wioski pojedyncze psie poszczekiwanie.

Wysoki mężczyzna w kapturze niemalże bezszelestnie zbliżał się do wioski, gdzie mieszkała dziewczyna.

„Za Borem” była małą osadą. Liczyła dwadzieścia osiem dusz i kilkanaście duszyczek, które z racji wieku nie brano pod uwagę. Ludzie żyli tu głównie z uprawy ziemi oraz zbieractwa, a dzięki przyjezdnym odwiedzającym Kresową wyspecjalizowali się w barwieniu tkanin. Na zlecenie zamożnych kupców przyjeżdżających z różnych stron świata i za otrzymaną z góry zapłatę, poddawali przywiezione przez nich tkaniny całkowitej przemianie. Choć takich zleceń było niedużo w ciągu roku, podbudowywało to niejedyn domowy budżet.

Dochodził do osady pogrążonej w nocnej ciszy. Chłopi zazwyczaj nie siedzieli po zmierzchu, szli na spoczynek o zmroku i wstawali o brzasku. Utrudzeni mozolną pracą zasypiali wcześniej i rzadko kiedy dało się ujrzeć przenikające światło przez rybią czy zwierzęcą błonę naciągniętą na

okienną ramę. Oświetlenie domów stanowiło niemały wydatek. Olej do kaganków, wosk czy łój na świece pochłonałyby znaczną część dochodu, a przy ogniu w piecu czy na palenisku niebezpiecznie było zasnąć.

Niskie domy z sosnowych bali stały wzdłuż prostej drogi, podobne do siebie jak krople wody, choć czwarta chata sprawiała wrażenie nieco większej. Było tu chłodniej niż przy innych gospodarstwach i odgadywał, co się za tym kryje. Z pozoru wszystko wyglądało normalnie, żadnych niezwykłych zjawisk nie dało się dojrzeć, nic podejrzanego poza zimnem nie rejestrowały zmysły, a jednak on dobrze wiedział, że Ona gdzieś tu stoi i jak zwykle czeka.

„Gdzie się chowasz?” — zapytał bezdźwięcznie, przeszedł kilka kroków i złustrował otoczenie, zerknął z gościńca na podwórze i ponownie wrócił w dawne miejsce.

Zimny, dojmujący chłód przesączał ubranie, pełgał po ciele, kąsał odsłonięte członki. Wzdrygnął się i począł Jej szukać wzrokiem, acz w ciemności z oczu niewiele miał pożytku. Szedł przeto za zimnem. Wyciągał ręce, robił małe kroczki i sunął w stronę niewidzialnego źródła zimna. Im był bliżej celu, tym temperatura była niższa, kłęby szronu zawisły w powietrzu i pokryły trawę popielatym welonem, z ust zaś jęła wydobywać się półprzeźroczysta para. Jak po nitce do kłębka sunął w kierunku brzozowego płotu, a gdy temperatura gwałtownie spadła, zatrzymał się i rozejrzał.

Noc Jej sprzyjała, xiężyc niedostatecznie go wspomagał, a jednak dzięki srebrzystej poświacie jego uwagę przykuł jeden fragment ogrodzenia. Wyróżniał się od reszty, pochłaniając zachłannie poblask odbitego przez miesiąc słonecznego światła. Z wetkniętym wzrokiem w zbite gałązki powiązanych brzózek wyczekiwał cierpliwie na najmniejsze poruszenie. Śledził owady, nocne motyle wlatujące w strefę przejmującego zimna. Wlatywały, drętwiały w powietrzu i pierzchały w cieplejsze miejsca. Czas się dłużył, minuty niemilosiernie ciągnęły, wysiłek włożony w wypatrywanie jakiego bądź ruchu i śladów jej bytności zdawały się nadaremne. Wiedząc, że mogła tak sterczeć do dnia sądnego, naigrywać się z niego w ciszy i testować jego wytrzymałość, postanowił przerwać to i chytrze Ją podejść.

— Tu jesteś! — blefował.

Coś się nieznacznie poruszyło. Wypatrywany wycinek płotu zakoły-

sał się, jak gdyby odbity w tafli spokojnie falującego jeziora i uwidocznili zarys stojącej przy ogrodzeniu mrocznej postaci. Przyzwyczajali wzrok do panujących warunków i dostrzegł Ją w pełni i wyraźnie.



Nie musiała się odwracać ani na niego patrzeć, wystarczyło, że czuła jego spojrzenie na sobie. Nie był w stanie nic Jej zrobić, więc nie stanowił dla Niej zagrożenia, a mimo to nie była zadowolona z jego przybycia do wioski. Chłonęła jego myśli i wchodziła w głowę, wertowała jego pamięć i widziała, że nie podjął ostatecznej decyzji, acz sam fakt, iż miesza się do spraw niedotyczących jego, bardzo ją zaniepokoił.



Znów wchodzisz mi w drogę! — zawołała dzikim, pałającym gniewem głosem, wybrzmiewała w nim nienawiść do niego.

Stał przy szerokim ogrodzeniu spalonego, warownego grodu, ubrany w srebrną zbroję, z oczami pełnymi ognia i trzymając ociekający krwią męski czerep.

Martwe oczy rozwarłe szeroko spozierały na Nią w śmiertelnym zapatrzeniu, twarz wykrzywiona była w bolesnym grymasie, z otwartych ust spływała spieniona krew ciemnoczerwonego koloru.

Spojrzał na nią lekceważąco, rzucił w Jej stronę ledwie co obcięłą głowę, wyciągnął miecz utkwiony w bezgłowym ciele i roześmiał się głucho i szydlerczo.

— I coś się tak podnieciła?! Co?! — zakpił i otarł pot z brudnego czoła.

Zagotowała się w złości, przypadła do niego w kilku długich krokach, chwyciła kościstymi paluchami za szyję, miała chęć go unieść i patrzeć jak się dusi.

Nie stawiał oporu, lecz ryknął śmiechem, okrutniej i prześmiewczo.

— Zabieraj łapska albo łeb stracisz, jak ten tutaj! — krzyknął, chwycił Ją za nadgarstki, oderwał kościste paluchy i silnie odepchnął: — Nic Ci do mnie, rozumiesz? — dodał z pogardą, splunął Jej pod nogi i oddalił się szybkim krokiem.

Zbroja pobrzękiwała, ciężkie kroki chlupotały w brunatnym od posoki błocie, a z dopalającego się grodu wybrzmiewały jęki konających mężczyzn, rozpaczających nad ciałami kobiet i płaczących dzieci.

— Co z rannymi?! Co z jętymi<sup>169</sup>?! — nawoływał z daleka zboczony we krwi jasnowłosy rycerz, wsparty ze zmęczenia na dwusiecznym mieczu, otoczony wydzierającymi sobie padlinę krukami.

— Dobić, Labiliu! Dobić! — rozkazał i zawołał do Niej: — Są twój! Bierz, ile dusza zapagnie! Tym razem nie będę Ci wchodził w drogę!



Zaurzało w Niej na tamto wspomnienie, ale to działo się bardzo dawno temu. Teraz spotkali się na nowo, po wielu latach, wciąż powiązani niewidzialnymi ze sobą więzami. Nic jednak zrobić nie mogła, pozostało Jej tylko cierpliwie czekać i obserwować, co nie było dla Niej trudne, to leżało w Jej naturze.



Więc to wszystko prawda — przemówił sam do siebie i odszedł w kierunku wejścia na podwórze.

To, co niebawem miało się wydarzyć, było nieuniknione, albowiem stronice Liber Mortuorum<sup>170</sup> zostały zapisane i przeznaczenie musiało się wypełnić. Nic nie było w stanie tego zmienić, nikt nie mógł zatrzymać wprawionej w ruch maszyny i nic nie mogło odmienić losu tych, których imiona wyryto złotą czcionką. Trzy czerwienią świecące na niebie gwiazdy, jak trzy życia, zawisły nisko nad ziemią, wskazując miejsce, gdzie wkrótce zgasną naznaczone śmiercią ludzkie byty. Nieświadome, zajęte codziennymi sprawami, cierpiące albo rozradowane życiem, noszą na czole piętno wypalone ręką Anioła Śmierci, niedające się ukryć, wymazać albo chociażby wyprzeć.

Przystanął w samym wejściu, raz jeszcze zerknął na stojącą przy płocie nieruchomą postać wpatrzoną w okno domu, wszedł na podwórze i stanął przy zardzewiałym wiadrze.

W ciemnej powierzchni wody odbijał się bladożółty xiężyc w pełni, a w jego środku błyszczał złoty dukat. Złote promienie z odbitej monety falowały delikatnie na wodzie i tworzyły jasne refleksy na jego zamaskowanym pod kapturem obliczu.

— Dlaczego go tu zostawiła?

Włożył ręce do wiaderka, zaczerpnął wodę i przemył spocone oblicze. Lodowata woda przyjemnie pobudzała, zmywała zmęczenie i senność. Powtórzył tę czynność i pozwolił orzeźwiającej cieczy spłynąć po

szy, wpłynąć pod tunikę i ostudzić rozgrzane ciało. Przemknął wzrokiem po pustym podwórzu. W małym oknie zbudowanej z grubych bali chaty dostrzegł nikłe, nierównomiernie pulsujące światło. Zakradł się pod okno i dzięki temu, że było szklane, zajrzał do środka.



O! Już po kąpieli? Tak chyba? — spytała zdziwiona matka, sprząając po kolacji ze stołu.

— Zmęczonam — odparła Anna.

Ziewnęła i podeszła do stołu, wzięła kubek i wskoczyła do łóżka, na którego poduszce siedział szmaciany misiek koloru lawendowego z naderwanym okiem, prezentem od ojca sprzed czterech lat na siódme urodziny. Siedziała z podkulonymi do siebie kolanami, piła drobnymi łyżkami i rozkoszowała się ciepłym miętowym naparu. Przez głowę przelatywały jej myśli z dzisiejszego zajścia w mieście. Dogobert próbujący zrobić jej krzywdę, tajemniczy nieznajomy w kapturze i złoty dukat z wizerunkiem kruka na awersie. Chciała wymazać to z pamięci, zapomnieć o niemiłym zdarzeniu, lecz zamiast spokojnie i poczuć ulgę, czuła narastający niepokój w sercu. To było niemiłe i przytłaczające doznanie.

— Muszę rankiem zbierać grzybów — oznajmiła matce, namyślając się jednocześnie, co powinna zrobić z dukatem.

Pragnęła go zatrzymać i oddać mamie, jednak bała się nieznajomego.

— Ostańże doma, Hanuś. Zrobim pranie, a później zbierzem siano z pola i pójdziem w dębrze zbierać chroślinę<sup>171</sup>.

— Przecie wiesz, że jak ostaję, tatko spokoju nam nie daje.

— Ale kiebyś<sup>172</sup> ostała...

— Matuś, nie! Jak zwykle skończy się zwadą i nas spierze.

Zamilkły. Z miłą chęcią zostałyby w domu, tylko zawsze, kiedy to robiła, ojciec wygrażał się i wściekał.

— Darmostajów<sup>173</sup> trzymał nie będę! — wrzeszczał na nią i matkę, będąc w rzeczywistości jedynym w domu darmozjadem.

Tyle że wszystko, co mieli, należało do niego. Dom i kawałek ziemi dziedziczył po ojcu.

— To wróc chociaż wcześniej.

— Dobrze.

— Obiecuj?

— Obiecuję.



Nawet gdyby matka nie prosiła, i tak wróciłaby szybciej niż zwykle. Po-  
stanowiła bowiem spędzić z nią więcej czasu i trochę odciążyć od pracy.  
Poza tym jutro sobota, a w soboty i w niedziele miasto nawiedzały wę-  
drowne trupy<sup>174</sup> wystawiające przedstawienia, i wtenczas nijak nie dało  
się nic sprzedać.

— Wypepłaaś<sup>175</sup>? — zapytała matka, wskazując pusty kubek.

— Tak, proszę. Dobranoc, matuś.

— Dobranoc, skarbie.

Dziewczyna położyła się, przykryła ciepłą pierzyną, przyłożyła poli-  
czek do poduszki i przytuliła misia. Chwilę tak sobie leżała zapatrzona  
w zabawkę, a kiedy powieki jej zaciążyły, zamknęła ze zmęczenia oczy.

— Stuk-puk! — zastukało coś naraz w okno, a może tylko w jej głowie.

Zerknęła w tamtą stronę i zapatrzyła się w maleńki otwór<sup>176</sup> w ścia-  
nie, którym do ciasnej izby przenikało jasne światło. I wtedy, na tle roz-  
świetlonego nieba zobaczyła zarys stojącej przy oknie postaci w kapturze.  
Strach chwycił ją za gardło, zacisnęła powieki z przerażenia i zwinęła  
dłonie w pięści.

„To nie może być prawda” — wyjąkała w myślach i ostrożnie, żeby  
broń Boże przypadkiem nie otworzyć oczu, odkręciła się do ściany. —  
„To nie może być prawda. To mi się jeno zdawało” — powtarzała jak  
nakręcona i próbowała uspokoić przerażonego w ciele ducha.



Matka Anny nie miała już na nic siły. Zmęczenie po całym dniu pracy  
rozłożyło ją na łopatki. Odstawiła na stół kubek, zerknęła na odkręconą  
do ściany córkę i ziewając, pomyślała:

„Jutrze skończę”.

Podeszła do pieca, przydusiła żar, zdmuchnęła świecę, a na koniec  
zrzuciła wierzchnie ubranie i spoczęła przy Annie. Była tak zmordowana,  
że ledwo zamknęła oczy, a poczuła, jak traci czucie i odpływa. Zasnęła.



Obserwował siedzącą na łóżku dziewczynę. Ubrana w nocną koszulę  
sączyła herbatę i coś mówiła do matki. Rozejrzał się po niedużej, skrom-  
nej izdebce, gdzie niewiele było rzeczy, choć po drewnianej podłodze  
i solidnych dylach ścian budynku oraz szybko w oknie, zgadywał, że  
dawniej dobrze powodziło się żyjącym tutaj ludziom. W rogu pomiesz-

czenia stał piec wylepiony gliną, przy zachodniej ścianie łóżko, a naprzeciw niego siennik z wystającym z materiału sianem. Pośrodku stał stolik z przysuniętą do niego ławą, po przeciwnej stronie pieca skrzynia na ubrania, przy niej niski zydel na szeroko rozstawionych nogach, a przy wyjściu z mieszkania balia do prania, w której nie tak dawno brała kąpiel Anna. Na podwieszanej do stropu i wspartej o ścianę desce stało trochę statków<sup>177</sup>, gliniane słoje z przyprawami i kilka trudnych do rozpoznania przedmiotów. Nad piecem suszyły się grzyby i owoce, wisiały zioła i warzywa. Światło słabe i żółtawe pochodziło z samorobnej<sup>178</sup>, łojowej świecy, krzywo ulanej i głośno skwierczącej.

Dziewczyna podała kubek oczekującej przy łóżku matce, położyła się i przytuliła do misia. Krótko poleżała, zamknęła na kilka sekund oczy i nagle spojrzała w okno, przez które zaglądał do środka. Nie zdążył uciec przed jej wzrokiem. Widział, jak wlepia w niego wystraszone oczy, poczuł jej strach ogarniający izbę i zobaczył go w postaci szaro-sinego oparu, wypływającego spomiędzy szczelin domu i ulatującego w stronę atramentowego nieba.

Tak! Ona się go bała. Jej serce waliło jak młotem, bębniło o ściany, grało na małych kwadratowych szybkach niedużego okna i dźwięczało wysokim tonem w jego uszach.

Skulona w łóżku, roztelepana wewnątrznie wmawiała sobie, że to złudzenie, jednakże panować nad tym nie umiała. Strach, zaszczipiony towarzysz istot ludzkich niczym rak zagnieździł się w jej głowie, rósł w siłę wraz z wiekiem i umacniał swą pozycję poprzez zniewolenie, przekazaną jej w dzieciństwie wiarę i ludzkie zabobony. Tymczasem coś w strachu dziewczynki było odmiennego, jakaś znana mu cząstka walczyła w niej z lękiem o przywództwo, próbowała wyjść na zewnątrz, wyrwać się z niewolniczej klatki ludzkiego umysłu i wzbić ponad wszelkie ustalone normy. Zdziwił się temu, potarł brodę i zapatrzył na skuloną pod pierzyną dziewczynę.

— Conscientia<sup>179</sup> — wyszeptał w zamyśleniu.



Gdy stał przy oknie, spoglądając do wnętrza domu, coś bezszelestnie podeszło do niego. Musnęło jego rękę i dotknęło dłoni. Spojrzał błyskawicznie pod nogi, przygotowany do obrony, z ciałem gotowym do skoku i dłońmi zaciśniętymi w kułak. Zamiast jednak się bronić, zareagował

cichym śmiechem. Przed nim stało wielkie psisko o dużych, ciemnych ślupkach i burej gęstej sierści, dotykało go mokrym nosem i ciekawie mu się przyglądało.

— Skradasz się niby kot — wyszeptał do psa, przykucnął przy nim i pogłaskał po karku.

Ten, skoczył na niego i z radości począł lizać po twarzy. Cieszył się całym ciałem, garnął całym sobą, pojękiwał ledwo słyszalnie i nie zaprzestawał go ślinić.

Długo głaskał uszczęśliwione zwierze niepanujące nad odruchami, a kiedy pies ochłonął, przyciągnął jego łeb ku sobie, przyłożył swoje czoło do jego czoła i popatrzył w jego mądre oczy.

Przypatrywali się sobie bez ruchu, najmniejszego dźwięku, znieruchomiali w jakimś hipnotycznym transie.

— Dziś kończą się twoje troski, przyjacielu. Dziś będziesz spał snem niezmaconym. Dziś twoje życie ulegnie przemianie. I dziś twoje życie zostało przedłużone — szepnął do psa, puścił go i dodał: — Idź. Jesteś wolny. Zwalniam cię ze służby.

Pies pomerdał ogonem na pożegnanie, polizął go po raz ostatni i pobiegł do skrytej w głębi podwórza budy.

Czarna postać stojąca u płotu drgnęła nerwowo i wprawiła w ruch powietrze. Wzburzone z nagła przemieściło się gwałtownie w postaci mlecznobiałych drobinek krystalicznego lodu.

Spojrzał na Nią spod byka i z pogardą rzekł w myślach:

„Wiem, że jesteś niezadowolona. Wiem, że Ci się to nie spodobało i jesteś na mnie wściekła. Ale czy możesz mnie powstrzymać?”

Nie wierzył, że odpowie. Nie musiała tego robić. Wystarczyło, że czuł, co teraz sobie o nim myśli. Podniósł się z kłęczek i zajrzał przez okno do środka chaty. Gęsty mrok spowijał wnętrze. Anna i matka spały.

„Nic tu po mnie”. — Wyszedł z podwórza i ruszył ku grodowi.

Z oczami zwróconymi w ciemną ścianę drzew wypatrywał miejsca, gdzie mógłby wejść w gęstwinę lasu, a kiedy je znalazł, przepadł.



Przez sen usłyszała basowy głos należący do mężczyzny. Coś mówił, jednak był zbyt cichy, aby słowo w słowo mogła to dosłyszeć: „Twoje życie ulegnie przemianie... .. twoje życie...”. Chciała otworzyć oczy i sprawdzić, któż to za oknem po nocy szepcze, tylko panicznie się bała. Prze-

mknęło jej nawet przez głowę, że to Zły zagląda do izby w poszukiwaniu osamotnionej duszy, chce ją porwać do swojego Królestwa Ciemności i tam w towarzystwie swoich czarnych pobratymców pożreć. Przeżegnała się lekliwie, przytuliła po omacku do śpiącej Anny i schowała głęboko pod pierzynę.

„Toć przecie sen. Jeno zły sen” — wytłumaczyła sobie, odpłynęła, i ponownie zasnęła.



W kącie izby, na grubym sienniku siedział po turecku chłopiec. Przed nim leżał biały zajacek, podkulał pod tułów puszyste skoki<sup>180</sup>, poruszał szybko strzyżami<sup>181</sup>, i jak chłopczyk spoglądał na śpiące niewiasty. Niebieskooką dziewczynkę, Annę, i jej strudzoną pracą matkę.

W pomieszczeniu było ciepło, przyjemnie grzało od pieca, w mchu pomiędzy deskami na zmianę przygrywały dwa świerszcze, a pomiędzy dyłami w podłodze harcowały rozochoczone myszy. Szurały pazurkami, skrobały deski ostrymi ząbkami i od czasu do czasu popiskiwały. Wnętrze chatki żyło odgłosami nocnych owadów i małych gryzoni poszukujących smakowitych okruszyn, a na dachu siedział młody puszczyk, śledził bystrymi oczami oddalającego się w stronę lasu mężczyznę.

— Uhuuu... Uhuuuuu... — zahukał, gdy nieznamy przepadł w gęstwinie lasu.

Chłopiec powstał na sygnał ptaka, wziął króliczka na ręce, podszedł do śpiącej dziewczynki i pogłodził delikatnie po policzku. Poruszyła się, ale nie przebudziła, na twarzy miała namalowany błogi spokój. Kiedy chłopiec odszedł, cień przemknął po jej buzi, a przy łóżku zawisła czarna, zwałista postać. Wyszczrzyła poźółkłe zębiska i przyłożyła rękę do jej naznaczonego piętnem śmierci czoła.



**B**renard! Zbudź się! — Dogobert z mocą poszturchiwał śpiącego druha, który niezadowolony, że go zbudził, usiadł na ławce i półprzytomny próbował otworzyć zaspane oczy.

Widząc, w jakim marnym jest stanie, podał mu metalowy kufel wypełniony po brzegi wodą.

— Kończymy służbę. Trza cosik ustanowić — mówił i obserwował chciwie pijącego wodę Brenarda.

Ten, gdy dopił, oznajmił:

— Dobrze. Niech ci będzie. Ale to już ostatni raz. Potem dasz mi spokój i nigdy nie wejdiesz mi w drogę. Ślubuj to albo radź sobie beze mnie!

Zapadła cisza. Mierzyli się wzrokiem. Dogobert wiedział, że nie może mu odmówić i co więcej, robi to chętnie, byle by tylko ten na to przystał. Nie mógł jednak zgodzić się tak od razu, stąd te pozory i wahanie, nie chciał pokazywać Brenardowi, że cieszy go ten układ.

— Zgoda, ślubuję!

Podał Brenardowi rękę na znak ugody.

Woj uścisnął ją z mocą, trzymał mocarnie w żelaznym uścisku i pochylał w jego stronę stężełe z powagi oblicze.

— Jeśli złamiesz przyrzekę<sup>182</sup>... — wycedził Brenard i wejrzał groźnie w jego oczy: — Ubiję by psa!

Dogobert nie zareagował, zachował zimną krew i nie odpowiedział na pogroźkę. Wyszarpnął się z potężnego uścisku Brenarda i wykręcając się do niego plecami, zajął posterunek. Złość nim trochę targała, ale to nie miało już znaczenia. Najważniejsze, że przekonał go do siebie, i to go niezmiernie radowało. Dziś zrealizuje swój plan, pożegna znienawidzone wojsko i nie będzie musiał oglądać takich frajerów jak Brenard. Tak czy siak, dotrzyma danej mu obietnicy.

— Bądźże pod Wschodnią Bramą po pierwszym pianiu koguta. Ino się nie ociągaj, tylko zrób to rychło — rzucił z niechęcią w głosie.



Brenard niesłuchanie zadowolony z siebie usiadł na ławce. W końcu zrobił pierwszy krok, ażeby raz na zawsze pozbyć się Dogoberta. Znał go jednak doskonale i zdziwił się, że tak łatwo mu ustąpił. To było niepokojące i zupełnie nie w jego stylu. Normalnie złościł się i obrażał, a czasem nawet wszczynał bójki, a tu zbyt gładko z nim mu poszło. Miał na pewno tylko sobie znany zamysł, a ponieważ był przebiegły jak węź i śliski jak piskorz, a do tego nieobliczalny, będzie musiał uważnie go obserwować.

Podniósł z ławki miecz i jak Dogobert nieśpiesznie zajął swoje stanowisko. Za niecałe dwadzieścia pacierzy<sup>183</sup> nadejdzie zmiana, wróci do domu i będzie miał ociupinę czasu, by się przygotować.

„Dobrze, zech się zdrzymał<sup>184</sup>”.

Uśmiechnął się pod nosem i zerknął na drącego gębę Dogoberta.

Z wielkim mozołem przedzierał się przez gęste zarośla. Cierniste krzewy szarpały go, chwyciły za odzienie i wbijały bezlitośnie w ciało ostre pazury. Pająki wielkości piąstki noworodka zerwane wraz z pajęczą siecią biegały po nim, wciskały się za kołnierz i chowały pod rękawy. Prawie nic nie widział, wyciągał ręce jak łązący po gzymsie lunatyk i uważał, by nie walnąć w twarde pień drzewa lub nie nabić się na wystającą gałąź. Wyczuwał podświadomie ukrytą polanę, szukał po omacku pustych przesmyków w krętaninie wybijanej roślinności, parł nieprzerwanie do przodu, pomimo że przeprawa przez chaszczę nie należała ani do łatwych, ani zbyt przyjemnych. Na szczęście dość szybko wyszedł na sporej wielkości polanę, osłoniętą drzewiastym parawanem bujnej zieleni.

Zatrzymał się na środku. Położył worki, zrzucił płaszcz i wytrzepał pouczepiane pająki. Wyjął z worka płócienny woreczek, rozsypał rżemień, wydobyl z niego dwa wysuszone liście i energicznie nimi potarł. Pomiędzy liśćmi zatrzeszczało, maleńkie iskry zamigotały, przeskakując od liścia do liścia, a kiedy było ich tak dużo, że wokół zajaśniało, jeden z nich eksplodował niebieskim płomieniem. Gorzał intensywnym błękitem i rozświetlał pograżoną w ciemności polanę. Położył go na ziemi, wyciągnął dłonie w stronę ognia i jął ogrzewać skostniałe z zimna palce, obserwując tańczące po liściach płomyki. Liść płonął żywym, niebieskim ogniem, jednak nic nie zapalało się od niego. Sucha trawa, liście, igły i lesne poszycie pozostawały nienaruszone, owady przed nim nie uciekały, podchodziły do ciepła, wchodziły po łodygach roślin i wchodziły w pole niebowego<sup>185</sup> światła.

Z drugiego worka wygrzebał metalowy kubek, a z wewnętrznej kieszonki tuniki wydobyl skórzany mieszek z umieszczonymi na nim niezrozumiałymi symbolami. Rozsypał go, przesypał do kubka niewielką ilość srebrzystego pyłu, zbliżył do ognistego liścia i wsunął w spokojnie rozkołysane płomienie. Już po chwili dostrzegł wzlatującą nad kubkiem mgiełkę, przypominała wiszący nad ziemią obłok. Szargany niewidzialnym wiatrem rósł prędko, gęstniał i przybierał granatowo-siny kolor, aż niczym burzowa chmura rozbłysł jasnym światłem. Dmchnął w wiszący nad kubkiem tuman, a wtedy przeistoczył się w ciężkie krople i pod postacią wody wpadł z pluskiem do naczynia. Usiadł przy ogniu, wziął solidny łyk przezroczystego płynu, zamknął oczy i delektował się gorącym pobudzającym ciało cieczy.

Tymczasem las żył swoim własnym życiem, nie zwracając na niego zupełnie uwagi. Zewsząd dochodziły najprzedziwniejsze dźwięki i odgłosy. Wysokie i niskie, śmieszne i przerażające. Długie, wiszące w powietrzu i krótkie, błyskawicznie opadające. Krzykliwe i przesywające, głośne i te ledwo słyszalne. Niezliczone ilości owadów pochowane w trawie, w krzewach i na drzewach, zaprosiły go na wieczorny koncert pod gwieździstym niebem, grając tego wieczoru najwspanialsze we wszechświecie uwertury pod dyrekcją niewidzialnej ręki, samej Matki Natury.

Kiedy wypił, zapatrzył się na skaczące po liściu płomyki i pomyślał o niej. Młodziutkiej, niewinnej, niczego nieświadomej dziewczynce o błękitnych oczach. Z pamięci przywoływał jej obraz, szedł do niej w niewidzialnej postaci, stawał przy jej łóżku i patrzył, jak śpi przytulona do małego misia. Pochylony nad nią wyciągał ku niej ręce i pragnął wyrwać ją ze szponów nadciągającego niebezpieczeństwa. Czy jednak miał prawo ingerować w to, co zostało już postanowione? Czy wolno było mu zmienić jej przeznaczenie? I czy zmieniając je, nie popełni tym samym okrutnego błędu?

Zdany na własną intuicję, toczył ze sobą bezkrwawą walkę, bój o swój los i dziewczyny. Walkę, w której główną stawką była ona. Czas płynął nieubłaganie, mknął nielitościwie do przodu, a on ciągle nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co powinienem zrobić?”. Mógł ją po prostu zostawić i najzwyczajniej odejść. Zapomnieć o niej, o tym, co niebawem się wydarzy, lecz czuł potrzebę, by jej pomóc. Poza tym rosło w nim uczucie, którego nie do końca był świadomy.

Spojrzał w górę, czując spoglądające nań przenikliwe oczy. Wysoko na ciemnym niebie krążył drapieżny ptak z rozłożonymi nieruchomo skrzydłami. Obserwował tego nocnego drapieżcę, robiącego duże koła, i nie wiedzieć czemu wyobraził sobie, że poluje na nią. Bezszelestnie sunie ku ziemi, zataczając coraz to szybsze i mniejsze kręgi, ażeby ją pochwyścić, unieść gdzieś w ustronne miejsce i tam odebrać jej króciutkie życie. Nie mógł mu na to pozwolić. Musiał coś z tym zrobić.

— Panie... — wyszeptał.

Las wstrzymał oddech, całkowicie zamarł. Wydawało się, że niebo opadło znacznie niżej, że otaczające go drzewa pokłoniły ku niemu gałęzie, a płomienisty dotąd niebieskawy ogień momentalnie przygasał.

— Wybacz, że po raz kolejny Cię zawiodę. Wybacz, że jeszcze dziś powstanę przeciwko tobie.

Opuścił głowę i poczuł, jak wielki smutek napęłnia jego serce, jak beźmierna pustka wypełnia mu umysł. Jego oczy zwęziły się bardziej, a tęczęwki w blasku ledwo dostrzegalnego ognia, przybrały kolor bladej czerwieni. Trwało to niedługo, do chwili kiedy nad płonącym niepewnie ogniem ujrzał unoszące się niewielkie złote iskry. Wirowały w powietrzu, tańczyły i tworzyły świecący na ciemnym tle świetlisty warkocz. Szybowały coraz wyżej i wyżej, aż rozwiane w ciemności, przybladły i znikły. Las znów ożył, wybuchając kakofonią nocnych dźwięków, niebo odskoczyło wyżej, przyjmując dawne położenie, drzewa na powrót skierowały w górę gałęzie, a ogień rozblił się z nową, większą jeszcze siłą.

Wstał i powiódł wzrokiem po rozświetlonej polanie. Niedaleko rósł masywny buk o potężnych, rozłożystych ramionach. Podszedł do niego, ułożył się pod nim wygodnie i zamknął oczy. Nadszedł czas na sen i spoczynek. Chwila błęgiego stanu zapomnienia i niebytu...



**N**ie mogła spać. Kręciła się, wierciła niespokojnie i przebudzała. Męczyły ją nocne zwidy.



Śnił jej się mężczyzna ubrany na czarno z założonym na głowę kapturem. Przybył prosto z Otchłani Piekieł na ognistym rumaku, któremu z nozdrzy buchały rozszalałe płomienie i oświetlały jego duży łeb pozbawiony oczu i skóry. Zamierzał ją złożyć w rytualnym obrzędzie przy pełni księżyca, brutalnie zgładzić, wydobyć z niej maleńką duszę i zjeść jej ciało. Pochylony, patrzył żarzącymi w ciemności czerwonymi ślepiami z głębi kaptura i wyciągał w jej stronę szponiaste, kościste blade trupie ręce. Miotła się na wsze strony jak ryba schwytana w sieci i nie dawała się pochwycić. Spróbowała zeskoczyć z łóżka, ale wtedy coś niewidzialnego przykuło ją do niego. Krzyczała z całych sił, acz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Płakała krwawymi kroplami, zabarwiającymi białą koszulę na amarantową barwę. W panice szukała oczami złotego dukata z wizerunkiem kruka, lecz nigdzie go nie było. Chciała mu go oddać. Pragnęła, by sobie poszedł. Była taka młoda. Nie chciała jeszcze umierać.



Przebudziła się caluśka przepocona. Głośno oddychała. Zrzuciła pierzynę dla ochłody, jednak w chacie było tak przenikliwie zimno, że od razu okryła się z powrotem.

— Co tutaj taka ziębota<sup>186</sup>? — spytała zdumiona sama siebie i przykryła się szczelniej.

Zerknęła na matkę. Spała snem twardym, zmęczona po całym dniu pracy. Przyłgnęła do niej i powtórnie usnęła.



Tym razem śniło jej się, że ktoś puka w okno.

— Matus, ktoś puka w okno — poskarżyła się matce.

Nie miała siły, a przede wszystkim chęci sprawdzać, kto dobija się po nocy. Lecz stukot nie zaprzestawał, a matka nie reagowała. Anna otworzyła oczy i ze zdumieniem spostrzegła, że jej nie ma.

— Musi wyszła do wychodka — wytłumaczyła sobie i przytuliwszy mocniej misia, postanowiła spać dalej.

Tymczasem stukot nabrał na sile i stał się tak natrętny, że dalsze spanie graniczyło z cudem. Zdenerwowana wstała, z pół zamkniętymi oczami poczłapała do okna, wsparła czoło o zimną taflę szybki i zapytała:

— Kto tam?

Cisza. Bezgłos wypełniał małą izbę, a czarność nocy pomimo rozpraszającego ją xiężycy nie dawała się przeniknąć ludzkim wzrokiem.

— To chyba jakiś żart — oświadczyła z niezadowoleniem, rozpatrzyła się ostatni raz po skąpanym w ciemności podwórku, odsunęła od okna, i kiedy zamierzała wrócić do ciepłego łóżka, nagle, jakiś cień przemknął na zewnątrz.

Usłyszała delikatne puknięcie, jakby ocierającej się o szybkę gałązki na wietrze, a później grzmotnęło z taką siłą, że okno w jednej chwili rozpadło się w drobne drzazgi. Odskokzyła do tyłu przełknięta, osłoniła twarz przed ostrymi kawałkami szkła i zobaczyła ciemniejszą od nocy postać. Włożyła do izby kościstą rękę zakończoną nieproporcjonalnie długimi paluchami, po czym wrzuciła do środka jakieś zawiniątko.

— Plask! — Pakunek uderzył z głuchym jękiem o podłogę, rozbił się na dwoje, i oba przedmioty poturlały się w jej stronę.

Krzyknęła przerażona i jęła cofać się w głąb izby. Czowała drżące ciało, paraliżującą ją bojaźń i obserwowwała z przejęciem zbliżające się niekształtne kule. Toczyły się, wydając z siebie dziwne dźwięki i podska-

kiwały na nierównych deskach podłogi. Miała puścić się biegiem, zrobić zwrot na pięcie i czmychnąć, ale wtedy zaczęła o coś i wyrznęła.

Przedmioty dotoczyły się i znieruchomiały pomiędzy jej szeroko rozwartymi nogami. Nienaturalna cichość ogarnęła nagle izbę. Odgłosy na zewnątrz ustały, ciemność jakby wstrzymała oddech, a czas zatrzymał się w miejscu.

— Co to? — zapytała drżącym głosem.

Powstała wolniutko, klęknęła przy kulach, pochyliła się nisko, ażeby lepiej im się przyjrzeć i, opętańczo krzyknęła.

Włosy ze strachu stanęły jej dęba, tętno zdjęte trwogą przyśpieszyło, a ciało pchnięte do ucieczki wystrzeliło jak strzała z kuszy i pognało w stronę pochylonego łoża. Błyskawicznie dopadła posłania, wskoczyła pod nie z prędkością uciekającego wilkowi zająca i zwinęła się w ciasny kłębek. Z kolanami podciągniętymi pod brodę drżała na ciele, pochlipywała cichutko i uspokajała wystraszone w piersi serce.

Czas płynął niesłychanie wolno, w puszystym schronie zdawało się przytulnie i bezpiecznie, tylko zapach zgnilizny i rozkładu drażnił nozdrza, niepokoił złężnionego nie tak dawną wizją ducha i podsuwał straszne myśli. Miła w dotyku pierzyna nagle zawilgotniała. Nieprzyjemnie śliska, a do tego bardzo ciężka, przylgnęła do ciała z taką siłą, że poczuła nieprzyjemną duszność. W panice poruszyła się energicznie, a wtedy, pod wyciągniętymi rękoma odkryła pozostawione na podłodze przedmioty. Wrzasnęła i poderwała się do ucieczki, lecz przygniatający ją ciężar zatrzymał ją w miejscu.

— Dadźboże<sup>187</sup>... — wyszeptała dogłębnie przerażona.

Sunęła na brzuchu, pełzała po lepiącym, mokrym posłaniu i czuła się niczym mucha próbująca wykaraskać się z talerza pełnego kisielu. Długo to trwało, zanim dotarła do brzegu łoża, podniosła z trudem rąbek pierzyny i wyleciała z pluskotem<sup>188</sup> na podłogę. Oblepiona trupio-zieloną, śmierdzącą mazią, ciągnącą się kosmatymi nitkami, skoczyła na równe nogi i wybiegła. Pędziła jak oszalała, łkała spazmatycznym płaczem i nie mogła uwierzyć, że przedmioty, przed którymi ucieka, trzyma w rękach. W jednej głowę ojca, w drugiej matki. Wrzasnęła!



Wybudziła się gwałtownie, złana zimnym potem, z drżącymi ustami i ciałem dygocącym z przestraszenia, i rozpłakała się.

Matka zbudzona krzykiem dziewczyny, z lękiem i z myślą, że to zbójcka napaść, rozpatrzyła się po zziębniętej izbie i dopiero względnie uspokojona zatrzymała wzrok na szlochającej z cicha córce.

— Hanuś, co ci to? — zapytała i pogłaskała czule Annę. — Śniło ci się cosik złego? Koszmar jaki miałś?

Dziewczyna głucha na pytania matki przyłgnęła do niej i jeszcze mocniej zapłakała. Wymęczona łkaniem, z opadłymi siłami po nocnej zmorze i z przerażającą wizją leżących na jej rękach głowach, zasnęła.



**N**a polanie zaszeleściło. Coś niedużego wychyńło z bujnej, soczysto-zielonej trawy. Baczenie się rozejrzało, zrobiło niepewnie sus do przodu, po czym przystanęło i nadstawiło szpiczasto zakończone uszy. Przez moment nasłuchiwało, a potem pomknęło, robiąc kolejno po sobie długie skoki. Po kilkunastu krokach przystanęło i wspięte na tylnych łapach spojrzęło na leżącego pod drzewem człowieka. Nie dawał oznak życia, choć drgające światło płonącego liścia i pełzające cienie po jego obliczu mogły sprawiać wrażenie, że nieznacznie się porusza. Niezmyślone tym optycznym mamidłem pobiegło ku niemu, pół skacząc, pół pełgając, a będąc krok od niego, przywarło do ziemi.

Leśna cisza spowijała okolice, niewielki wietrzyk poruszał czubami drzew i co wyższych krzewów, szumiąc niczym morskie fale, kiedy ono wystawiło łeppek z trawy i wolnym, czujnym krokiem podeszło bliżej. Wczepiło ostre pazury w tunikę i najdelikatniej jak potrafiło, włożyło na niego. Mężczyzna jakby nie odczuł dodatkowego na sobie ciężaru, toteż zadowolone ze swojego sprytu ostrożnie popęzło do jego głowy, zastygłej we śnie twarzy, zamkniętych oczu i odsłoniętej szyi.



Poczuł, że coś po nim pełźnie. Począwszy od brzucha, poprzez klatkę piersiową, podchodziło ukradkiem w stronę jego szyi. Uniósł głowę, otworzył natychmiast oczy i tuż przy ustach zobaczył malutki, włochaty łeppek. Drobnie, czarne, połyskliwe w świetle xiężyca ślipia świdrowały go z uwagą, szpiczaste uszy wyczekiwały na zdumione słowa, a nastroszony ogon dyndał uniesiony nad ciałem niczym jadowity kolec nad głowotułowiem skorpiona. Znieruchomieli i przez chwilę się obserwowali. Za-

mknął oczy, oparł głowę na miękkiej ściółce i pozwolił leżącej na nim wiewiórcie podejść jeszcze bliżej.



Po kilku chwilach na polanie zaszeleściło. W koronach drzew, z gałęzi na gałąź skakały małe rude wiewiórki. Ganiały się ze sobą, zbiegały po pniach na ziemię i żwawymi skokami ponad trawę pędziły do leżącego pod drzewem mężczyzny. Wchodziły po nim, kładły się jedna przy drugiej i okrywały sobą potąd, aż znikł pod ciepłym, rudym kocem. Las spowiła głuchość, liść płonął blaskawym<sup>189</sup> równym płomieniem, mężczyzna spał snem spokojnym, a niedaleko pohukiwał młody puszczyk.

# PRZYPISY

- <sup>1</sup> Rajca *daw.* – członek rady miasta.
- <sup>2</sup> Szare gryzonie – szczury.
- <sup>3</sup> Lafa *daw.* – pensja, żołd, płaca.
- <sup>4</sup> Niewielki targ dziś miała – niewiele sprzedała.
- <sup>5</sup> Miedziak – pieniądz miedziany, łupak.
- <sup>6</sup> Bramowany *daw.* – ozdobiony, obsztyty.
- <sup>7</sup> On *daw.* – ten (na onej – na tej).
- <sup>8</sup> By *daw.* – jak (u), jak gdyby, niby.
- <sup>9</sup> Chwost *gw.* – ogon.
- <sup>10</sup> Szyp *daw.* – strzała.
- <sup>11</sup> Zagrzebion, zagrzebiony *daw.* – zagrzebany.
- <sup>12</sup> Skarbnica *daw.* – tutaj: skrzynia na kosztowności.
- <sup>13</sup> Niepostrzegły *stp.* – niewidoczny, niewidzialny.
- <sup>14</sup> Inszy *daw.* – inny.
- <sup>15</sup> Pazdury *gw.* – paznokcie, pazury.
- <sup>16</sup> Tutki, tutok *gw.* – tu, tutaj.
- <sup>17</sup> Poprzeskakiwać *daw.* – przeskoczyć coś kolejno, jeden po drugim.
- <sup>18</sup> Miesiąc *daw.* – księżyc; w tym znaczeniu: za trzy księżyce (trzy noce).
- <sup>19</sup> Śpik *daw.* – tutaj: szpik.
- <sup>20</sup> Wyćmoktać *gw.* – wysać.
- <sup>21</sup> Coże – cóż.
- <sup>22</sup> Widno *gw.* – widać (nie widno: nie widać).

- 23 Jucha *daw.* – krew; najczęściej zwierzęca.
- 24 Tamok *gw.* – tam.
- 25 Wpośród *daw.* – wśród; pośród.
- 26 Chrobry – dzielny, mężny, śmiały.
- 27 Teże *stp.* – też, także.
- 28 Azali, zali *stp.* – czy.
- 29 Nie wiada *daw.* – nie wiadomo.
- 30 Pomieniać się *daw.* – zamieniać się.
- 31 Wrzawliwy *daw.* – krzykliwy, hałaśliwy.
- 32 Zausznica *daw.* – ozdoba noszona u uszu przez kobiety.
- 33 Suewski jantar – bursztyn pochodzący z Morza Suewskiego; Morze Suewskie (Morze Sarmackie) – starożytna nazwa Morza Bałtyckiego.
- 34 Wielu *daw.* – wiele, ile.
- 35 Błyszczydło *gw.* – cacko, świecidełko.
- 36 Bitewny *daw.* – bojowy.
- 37 Tamoj *gw.* – tam.
- 38 Rob *daw.* – niewolnik, sługa; ten, który pracuje; stąd: parob.
- 39 Wszako, wszakoż, wszeko *daw.* – przecież, wszakże.
- 40 Braniec *daw.* – jeniec.
- 41 Bezwolny *daw.* – człowiek niewolny, należący do kogoś (niewolnik).
- 42 Niewiela *gw.* – niewiele.
- 43 Aleć *daw.* – jednak, wszakże (uwaga: wyraz stosowany wielokrotnie w innych miejscach, lecz również w znaczeniu: „ale”, z dodaną na końcu partykułą emfaticzną „ć”).
- 44 Tarzyć *daw.* – handlować, targować.
- 45 Cosik *gw.* – coś.
- 46 Uzwoić *gw.* – wyzwoić, uwolnić.
- 47 Dopiro *gw.* – dopiero.
- 48 Wyrobnik *daw.* – człowiek wynajmujący się do pracy lub jakichś usług za wynagrodzeniem.
- 49 Zachorzeć *stp.* – zachorować.
- 50 Śmiechliwy *gw.* – śmieszny, zabawny.

- 51 Kaj *gw.* – gdzie.
- 52 Grodzianin *daw.* – mieszkaniec grodu.
- 53 Kraśny, krasny, krasy – piękny, śliczny, przystojny.
- 54 Podrużyć się *daw.* – zaprzyjaźnić się.
- 55 Bodejaki *gw.* – byle jaki.
- 56 Żrały, nieźrały *gw.* – żrały: dojrzały; nieźrały: niedojrzały.
- 57 Zaciągnął *gw.* – zaciągnął.
- 58 Kmieć *daw.* – chłop.
- 59 Gańba *stp.* – hańba.
- 60 Sparty *gw.* – uparty.
- 61 Dziczka *daw.* – tutaj: dzika dziewczyna.
- 62 Toć *daw.* – przecież, wszak.
- 63 Do źgna *gw.* – całkiem, zupełnie.
- 64 Obzierać *daw.* – oglądać, obrzucać, oceniać coś wzrokiem.
- 65 Wedle *gw.* – obok, koło.
- 66 Strażnica *daw.* – budka dla straży; tutaj: wartownia.
- 67 Ajuści *daw.*; a juźci *gw.* – a jakże, ma się rozumieć, naturalnie; tak, tak właśnie.
- 68 Abych *stp.* – abym.
- 69 Zaranek *daw.* – ranek, pora przed dniem, świt.
- 70 Kundys *daw.* – kundel.
- 71 Spozierać zerkiem *daw.* – spojrzeć, spozierać ukradkiem.
- 72 Cepak *daw.* – tutaj: głupek, prostak.
- 73 Jamen *gw.* – amen; tutaj: niech się stanie (z hebrajskiego).
- 74 Chrapy – część górnej wargi na przykład u konia, okalająca nozdrza zewnątrz.
- 75 Cudotwór *daw.* – cudowne zjawisko, cud.
- 76 Przeszywanica – rodzaj miękkiego pancerza używanego w średniowieczu.
- 77 Napierśnik – osłona ludzkiego korpusu.
- 78 Nabijany – upiękuszony wbijanymi ozdobami (np. złotem, srebrem, kością słoniową, miedzią).
- 79 Zarękawie – część żelaznej zbroi, osłaniająca rękę od łokcia do rękawicy.

- 80 Nacz *stp.* – na co.
- 81 Dzięgi *gw.* – pieniądze, monety.
- 82 Gadu *b.u.c.* – poprawnie: gadowi.
- 83 Nuż, nuże *daw.* – dalej, dalejże.
- 84 Strzymawać *stp.* – wstrzymywać.
- 85 Dości *gw.* – dość, dosyć.
- 86 Ktosik *gw.* – ktoś.
- 87 Gid *daw.* – tutaj: obrzydliwiec, ktoś ohydny.
- 88 Żech *stp.* – żem.
- 89 Durek *gw.* – dureń.
- 90 Pochodnik – dawniej człowiek wytwarzający pochodnie; tutaj: młody mężczyzna zapalający wieczorem pochodnie ustawione wzdłuż głównych ulic (postać fikcyjna, wymyślona na potrzeby książki).
- 91 Naczynić *daw.* – narobić.
- 92 Ładno *stp.* – ładnie.
- 93 Sioło, siodło *daw.* – wioska, osada, osiedle wiejskie.
- 94 Samiuszki *stp.* – zdrobniale od: sam; samiusieńki, samiuteńki.
- 95 Do dom *daw.* – do domu.
- 96 Chybać *daw.* – tutaj: bieć, lecieć.
- 97 A duchem – szybko.
- 98 Ćma – ciemność.
- 99 Zawrzeć, zawrzyć *daw.* – zamknąć.
- 100 Wielachny *gw.* – wielki, bardzo duży.
- 101 Utratność *daw.* – tutaj: rozrzutność.
- 102 Poinaczyć *daw.* – poprzewracać do góry nogami.
- 103 Mać, macierz *daw.* – matka.
- 104 Majdan *daw.* – plac publiczny, rynek.
- 105 Aże, jaż *stp.* – aż.
- 106 Rzyć *daw.* – dupa.
- 107 Giczoły *gw.* – nogi.
- 108 Żagiew – pochodnia.



- 109 Nowotny *daw.* – nowy.
- 110 Ongi, ongiś *daw.* – kiedyś, dawniej.
- 111 Sulica – włócznia, dzida.
- 112 Personat łc. *personatus* – osoba ceniona, szanowana; ważna osobistość.
- 113 Stopień *przen.* – stanowisko.
- 114 Aczli *stp.* – jeżeli.
- 115 Zwiedzieć się *stp.* – dowiedzieć się.
- 116 Stolec *daw.* – tron; polecim tedy ze stalców *przen.* – z zajmowanych stanowisk.
- 117 Smard *stp.* – pogardliwa nazwa sługi, chłopca, niewolnika (śmierdziuch).
- 118 Wielgolud *gw.* – wielkolud.
- 119 Wykconcypować *daw.* – wymyślić, wpaść na pomysł, wykombinować.
- 120 Czatownik *daw.* – tutaj: wartownik wypatrujący z czatowni, a więc miejsca przeznaczonego do obserwacji, rozpościerającą się wokół grodu okolice.
- 121 Blank, blanka – zębate wycięcie murów i wież.
- 122 Kiedy niekiedy – od czasu do czasu.
- 123 Chodziwy *daw.* – trwały, dobrze się noszący.
- 124 Najmita *gw.* – najemnik.
- 125 Czarny kolor *odp.* – materiały w czarnym kolorze były niezwykle drogie w średniowieczu i bardzo rzadko pojawiały się stroje wykonane całkowicie w czerni; osoba ubierająca się na czarno musiała liczyć się z tym, że zostanie posądzona o pychę i obnoszenie się z własnym bogactwem, toteż kolor ten był dodatkiem do noszonej ówczesnie odzieży; dla przeciętnego człowieka zaś, szczególnie mieszkającego na wsi lub w miejscu odludnym, daleko od „cywilizacji”, osoba ubrana na czarno wzbudzała strach wynikający z wierzeń i przesądów.
- 126 Hanuś *gw.* – pieśczośliwie od imienia Anna (Hanna).
- 127 Dyszkan – najwyższy (najcieńszy) głos żeński, sopran.
- 128 Świetlica – największa izba w domu, gdzie przyjmowano gości, urządzano ucztę; tutaj: duża, jasna izba przeznaczona na miejsce pracy.
- 129 Któren *daw.* – który.
- 130 Ożegnać *daw.* – przeżegnać wszystko dookoła.
- 131 Łacno *daw.* – łatwo, bez trudu.
- 132 Wprzódy *gw.*; wprzód *daw.* – przedtem, pierwiej, dawniej.

- 133 Wnijście *daw.* – wejście.
- 134 Opity *daw.* – tutaj: pijany.
- 135 Um *daw.* – rozum, mądrość, rozsądek.
- 136 Zamierzk *stp.* – pora dnia od momentu schowania się słońca za horyzont do nastania ciemności, zmierzch.
- 137 Brona *stp.* – brama, wjazd, wrota do grodu, miasta.
- 138 Kozioł – samiec sarny.
- 139 Usmagać *gw.* – wychłostać kijami, różgami.
- 140 Wówczas *daw.* – wówczas, wtedy, w owym czasie.
- 141 Białka *daw.* – zamężna kobieta, niewiasta; skrót od: białogłowa.
- 142 Dorozumiewać się *daw.* – domyślać się.
- 143 Staja – staropolska miara długości; tu: 1 staja milowa = około 893 metrów.
- 144 Sumować się *gw.* – smucić się, troskać.
- 145 Mydlnica – odwar z korzenia mydlnicy lekarskiej; używany do mycia w czasach gdy nie znano mydła.
- 146 Samojedny *stp.* – sam, jeden, w pojedynkę.
- 147 Djaszek, diasek *stp.* – diabeł.
- 148 Drzewiany *stp.* – drewniany.
- 149 Otrok *stp.* – chłopak, młodzieniec, młodzik.
- 150 Nabity – tutaj: silnie zbudowany, krępy.
- 151 Doma *daw.* – w domu.
- 152 Grododzierżca *stp.* – naczelnik grodu, żupan, starosta grodowy.
- 153 Wecz *stp.* – w co.
- 154 Dociepnąć *gw.* – dorzucić.
- 155 Podle *daw.* – obok czegoś, w pobliżu czegoś, koło czegoś.
- 156 Głownia, klinga, brzeszczot – jedna z dwu podstawowych części każdej broni białej; służy do zadawania i odparowywania ciosów.
- 157 Jelec – element broni białej służący do zabezpieczania ręki użytkownika przed zeslizgiwaniem się palców z rękojeści na ostrze i do blokowania ciosów przeciwnika.
- 158 Drzewce – drewniany drążek, element składowy broni obuchowej i drzewcowej.
- 159 Jutrze *stp.* – jutro.

- 160 Zapóźnić się *daw.* – spóźnić się, opóźnić się.
- 161 Wianek – symbol niewinności; noszony przez dziewczęta i niezamężne kobiety.
- 162 Oficer *daw.* – oficer.
- 163 Pokryć dług – spłacić dług.
- 164 Zdolić *gw.* – zdołać, dać radę; tutaj: sprostać.
- 165 Z niebaczką *stp.* – znieścacka, niepostrzeżenie.
- 166 Zaklinić *daw.* – zaklinować.
- 167 Dwok *daw.* – dwóch.
- 168 Doświecać się – dopalać się.
- 169 Jęty *daw.* – tutaj: pojmany.
- 170 Liber mortuorum *tc.* – Księga Umarłych.
- 171 Chroślina *stp.* – chrust, suche gałęzie.
- 172 Kiebyś *stp.* – gdybyś.
- 173 Darmostaj *daw.* – darmożjad.
- 174 Trupa – zespół teatralny lub cyrkowy wystawiający przedstawienia.
- 175 Wypepłać *gw.* – wypić.
- 176 Otwór *daw.* – okno.
- 177 Statek *daw.* – garnek.
- 178 Samorobny *gw.* – własnej roboty.
- 179 Conscientia *tc.* – świadomość.
- 180 Skoki – nogi zająca.
- 181 Strzyże – wąsy zająca.
- 182 Przyrzeka *stp.* – przyrzeczenie.
- 183 Pacierz – 25 sekund potrzebnych na zmówienie Ojcie Nasz.
- 184 Zdrzytać się *daw.* – zdrzemnąć się.
- 185 Niebowy *daw.* – kolor: niebieski, w kolorze nieba.
- 186 Ziębota *gw.* – ziąb.
- 187 Dadźbóg, Dadźbog, Daźbóg, Dabóg – bóstwo Słowian.
- 188 Pluskot *daw.* – chlupot, plusk.
- 189 Blaskawy *stp.* – błękitnawy.

愛しています